

Ogród
RÓŻOWY
POKOIK

Krzysztof Galos

+18

Różowy pokój

Krzysztof Galos

Różowy pokój

2021

3

[Kup książkę](#)

Projekt okładki
Paulina Grochal

Copyright © by Krzysztof Galos, 2021

Pewne prawa zastrzeżone. Wolno kopiować, rozpowszechniać, odtwarzać i wykonywać utwór oraz tworzyć utwory zależne na następujących warunkach: należy umieścić wyraźny odnośnik do strony internetowej autora. Jeśli zmienia się lub przekształca niniejszy utwór, lub tworzy inny na jego podstawie, można rozpowszechniać powstały w ten sposób nowy utwór tylko na podstawie takiej samej licencji CC BY-SA.

ISBN 978-83-960787-2-8

Część I

1

2

3

4

5

6

7

8

Część II

9

10

11

12

13

14

15

16

Część III

17

18

19

20

21

22

23

24

Część IV

25

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[Część V](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

Nie mogłem uwierzyć, że się udało. Dowodem było słońce, nieśmiało wynurzające się spod gładkiej, błękitnej tafli oceanu. Ogrzewało mi policzki. Dotknąłem twarzy i zaśmiałem się głośno. Otaczająca mnie pustka szybko pochłonęła ten hałas. Rozejrzałem się, jakbym bał się, że ktoś mógł usłyszeć te objawy lekkiego szaleństwa. Ale nie było nikogo, tylko bezkresny ocean i ja w jego środku, w centrum świata. Zaśmiałem się po raz kolejny, tym razem głośniej i niepohamowanie.

Przez lata harowałem ile mogłem. Przeznaczenie przerzucało mnie z kraju do kraju. Z miejsca na miejsce. Gdziekolwiek wydarzyła się okazja, by uczciwie zarobić, tam zjawiałem się ja.

Praca w rozległych, niemieckich szklarniach? Na bezkresnych polach, pełnych dziwacznych roślin? W strugach deszczu i potu? Smagany wiatrem i mrozem, duchotą i słońcem? Dla mnie nie straszne. Może mocny wycisk w podziemnych szybach czeskich kopalni węglowych? Tam pot mieszał się z pyłem i po dniu pracy w ciasnych, klaustrofobicznych korytarzach, można było zdierać ze skóry twarzy grube warstwy węgla.

Spojrzałem na swoje spracowane dłonie. Stopą bezmyślnie kręciłem kółka w słonej wodzie, siedząc tak na skraju łodzi, czy też raczej łajby. Wszystkie oszczędności wydałem na tą łupinkę, bym mógł wreszcie zacząć żyć. Niezliczoną ilość razy zdierałem z dłoni skórę, by mój wewnętrzny *wanderlust* mógł wreszcie zostać zaspokojony.

Wracałem myślami do kolejnych miejsc i kolejnych robót, które miałem okazję w życiu doświadczyć, żeby dotrzeć tu, gdzie byłem. Ślusarstwo. Stolarstwo. Praca w sklepie. Praca w fabryce. Odlewnik, ogrodnik, majster, gryzipiórek, grafoman, ochroniarz, youtuber... Niezliczona ilość zawodów, które niknęły teraz w otchłani wspomnień, zacierały się, jak wąty ślad, który ciągnął się metrami po oceanicznej tafli, za moją drogą "Alicją".

Nie wiem, czy to dobra nazwa dla tak lichej i zasłużonej łodzi. Nie wpadłem jednak na nic lepszego. Może i jest to obraza dla kobiety, która tak wiele znaczyła dla mnie w poprzednim życiu. Która tak wiele osiągnęła, mimo przeciwności. Która tak wiele poświęciła, choć nie miała ku temu powodów. Teraz i ona, jej obraz powoli kruszył się za chmurą wspomnień. Robił się z dnia na dzień bladejszy i bladejszy. Cichszy. Łza spłynęła mi do oka.

Otarłem ją jednak szybko, by nasilona samotnością fala smutku nie pochłonęła mnie tak, jak mógłby w jednej chwili pochłonać mnie ocean. Tamtego czasu mój najważniejszy przyjaciel.

Kierowany głodem wróciłem do przytulnej kajuty i otworzyłem puszkę taniej fasoli. Jedną ręką jedząc, a drugą trzymając ster, skierowałem się w stronę kilku pobliskich wysp, które były tylko kropeczkami na pożółkłej mapie Oceanii. Pragnąłem stanąć suchą stopą na lądzie. Ogrzać się ciepłem prawdziwego ogniska. Może zjeść jakieś prawdziwe jedzenie.

Wolność ma swoją cenę. Poranki potrafią wgrzyzać się lodowatym chłodem do samych kości, nawet w okolicach równika. Nawet przy ocieplającym się klimacie. Głód lubi obsesyjnie zajmować każdy wolny zakamarek myśli, wzniecać tumany gniewu, czy nawet szału.

Zanim wyruszyłem na moją bezcelową wyprawę te kilka miesięcy wcześniej, byłem wegetarianinem. Teraz nie pamiętam dnia, w którym nie modliłbym się o jakąś zbłąkaną, zmęczoną mewę, która siada nieświadomie na dachu "Alicji" i nie ma zielonego pojęcia, co ją czeka. Czy ceną swobody jest głód i chłód?

Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że zaburczało mi w brzuchu i to pomimo faktu, że opróżniłem już drugą porcję fasoli. Skrupulatnie wypłukałem całą puszkę, by nie zmarnowała się najdrobniejsza choćby kaloria. Potem schowałem ją bezpiecznie, planowałem, że posłuży mi za naczynie do gotowania, gdy już dotrę do mojego najbliższego celu.

Ten drobny atol był ponoć często odwiedzany przez

podobnych mi ludzi, którzy włóczyli się po oceanicznym świecie bez ładu i celu. Cały poranek spędziłem na obsesyjnym myśleniu o tym, co będę robił na tym skrawku ładu. Co będę jadł. Co będę łowił. Jaki zbuduję szałas. Nie mogłem nawet skupić się na tym, by wykonać regularny wpis do pokładowego dziennika, który był też dziennikiem mojego nowego życia.

Zadziwiające, jak bardzo pustelnicтво wyostrza postrzeganie emocji. A może to głód? Nie ważne. Byłem już cholernie głodny, oszczędzałem zapasy, jak tylko mogłem.

Gdy w oddali moim oczom ukazał się zielonkawy, zamglony punkt, serce prawie podskoczyło mi do gardła. Wiedziałem, że to mogło być zwykłe złudzenie. Co prawda Oceania jest olbrzymia i usiana niezliczoną ilością podobnych wysepek, ale wciąż oddalone są one od siebie znacznie. Trzykrotnie sprawdziłem wszystkie współrzędne i pomiary. Podniecenie tak bardzo mną targało, że miałem ochotę wyskoczyć do oceanu i nieco ochłodzić własny zapach.

Naturalnie powstrzymałem się od tego zamiaru i tylko przesunąłem dźwignię gazu na maksymalny. To też robiłem rzadko, paliwo także oszczędzałem. Gdy tylko mogłem, używałem raczej siły wiatru i prądów morskich. Czemu wszystko jest takie drogie w tym świecie!

- No szybciej! - krzychałem na głos do mojej "Alicji", jakby to miało pomóc w jakimkolwiek sposób. Byłem jednocześnie podekscytowany i rozgniewany. Uradowany i podminowany.

W sumie nie było to dziwne. Straciłem rachubę czasu, ale według dzienników musiałem już któryś z kolei tydzień spędzić samotnie na oceanie, targany wiatrem na różne strony.

Wyspa rosła i rosła w oczach i nie było już wątpliwości, że to, na co patrzyłem nie mrużąc oczu, było suchym lądem. Nareszcie.

I tak oczekując na mój nowy, tymczasowy dom, naszała nie myśl: Czy ja zdziwaczałem od tego całego pustelnicтва? Czy brak kontaktu z drugim człowiekiem pozbawia zmysłów? Jeśli nie, to dlaczego zapiszczałem tamtego dnia jak małe dziecko, gdy na ułamek sekundy regularny kształt zamigotał w moich oczach.

Czyżby rozwinięty żagiel mrugał do mnie nieśmiało światłem przedpołudniowego słońca? Czyżby atol miał już swoich gości?

Nawet nie będę próbował opisać, jaką szaleńczą radością wypełniła mnie myśl, że mógłbym wreszcie spotkać drugiego przedstawiciela swojego gatunku. Gdyby ktoś patrzył na mnie w tamtej chwili, pewnie widziałby wesoło podskakującą małpę raczej, niż istotę ludzką. Możliwe, że nawet wydawałem wtedy z siebie odgłosy, które przypominają bardziej pohukiwania szympanśów, niż ludzką mowę.

Stałem więc tak napompowany emocjami, w obdartej i spranej od słonej wody i potu koszuli flanelowej w blado-niebieską kratę. W starych dżinsach. Bosy. Z kilkuletnim, rozczochranym zarostem. I w jednej sekundzie zacząłem się zastanawiać, jak zareaguje ktoś, gdy zobaczy mnie w takim stanie. Robinson Crusoe musiał wyglądać ode mnie lepiej, zdrowiej i bezpieczniej. Stereotypowy żul, wiodący życie człowieka pocziwego, musiał wyglądać przy mnie jak dostojny arystokrata.

I tak w ułamku sekundy bańka radości i oczekiwania prysła, zalewając mnie falą niepewności i goryczy. Jak miałem bowiem nawiązać kontakt z kimkolwiek, gdy tamten, albo tamta, spojrzy na mnie i ze strachu od razu rozwinie żagle i pomknie jak najszybciej w stronę mi przeciwną?

Spanikowany więc szukałem grzebień i nawet udało mi się znaleźć połamany kawałek plastiku, który kiedyś pewnie komuś służył jako grzebień. Ale tak, jak widelec nie uczyni z małpy istoty cywilizowanej, tak grzebień nie pomoże podstarzałemu abnegatowi.

Zacisnąłem zęby i uderzyłem w pulpit, aż podskoczyły pojedyncze naczynia w prowizorycznym zlewie, a widelec wypadł na podłogę kajuty.

- Człowieku, weź się w garść! - wrzasnąłem na głos, próbując nieco złagodzić własne emocje. Mówiłem tak jeszcze do siebie na głos, niczym psycholog, który próbuje uspokoić trudnego pacjenta w zakładzie dla obłąkanych. Tak oto odkryłem kolejną, jakże gorzką cenę wolności. Zdrowie psychiczne. Albo raczej utrata

wizerunku osoby, która jest zdrowa psychicznie.

Bo czyż nie byłem w pełni zdrow? Pełen emocji, owszem. Ale pełen też miłości do Wszechświata, którego przecież byłem częścią. Pełen szacunku dla tego, czym byłem. Pełen niewzruszonego przekonania, że to, co robię, jest w porządku. Że świat jest w porządku, taki, jaki jest.

Wędrowałem z dala od stresu i niepokoju współczesnego życia, które wysysa z ludzi nawet tak proste rzeczy, jak poczucie humoru i czyni z nich zmęczone, sztywne roboty.

Jednocześnie jednak przestałem się martwić o błahostki, jak to, czy posklejały mi się resztki włosów na głowie i brodzie. Albo czy dziura w ubraniu jest na tyle duża, że zaczyna doskwierać mi chłód w wietrzne poranki.

- Kurwa! - wrzasnąłem wniebogłosy, gdy nagą stopą stanąłem na widelcu, który wyleciał ze zlewu. Przez chwilę miałem ochotę nawet zapłakać zrezygnowany, ale tylko ukryłem szczelnie twarz w dłonie, przykucnąłem i skoncentrowałem się na oddechu. Tak robiłem zawsze, gdy emocje zaczynały wymykać mi się spod kontroli. Zwykle pomagało i wulkan umysłu zasypiał.

I tak nie było już czasu na nic. Po prostu pogodziłem się z tym, co miało nastąpić. Może mój nowy przyjaciel, czy przyjaciółka, po prostu mnie nie zaakceptują. Trudno. Przygotowałem się na to psychicznie. Przygotowałem się na najgorsze.

Może też nie będzie tak źle. Będę miły i ten drugi człowiek, a kto wie, czy nawet nie kilkoro ludzi, po prostu mnie polubią, mimo wyglądu ascety i dziwaka. Może zaakceptują mój słowotok, którego na pewno nie powstrzymam po tak długiej samotności. Może nawet uznają mnie za zabawnego!

Z tych rozmyślań otrząsnąłem się bardzo szybko. Zmrużyłem oczy, by lepiej widzieć to, co było teraz już bardzo blisko. Żagiel okazał się tylko kawałkiem płaskiej rafy, która wystawała ponad ocean. Słońce odbijało się od niej pod odpowiednim kątem, by mnie zmylić.

Tym razem przygniotło mnie uczucie, na które nie byłem

przygotowany. Rozczarowanie.

- Głupek! - krzyknęła, aż czająca się gdzieś na krawędzi łóżka srebrna szynszyla, przerażona uciekła w kąt pokoju, pod wysoką szafę. Jeden z licznych bezpiecznych punktów, które obrała sobie w domu, gdzie mieszkała.

Kobieta była raczej wysoka i postawna, miała włosy ciemne, które ledwie co sięgały jej do ramion. W kuchni była bezsprzecznie piątym kołem u wozu, naczynia nienawidziły jej z wzajemnością, lodówka warczała złowrogo, gdy tylko się zbliżała, a mleko kipiało prawie za każdym razem, choćby w mikrofalówce.

"Głupek, głupek, głupek!", krzyknęła trzykrotnie, tym razem w myślach, by nie wystraszyć jeszcze bardziej kulistego zwierzątko. Ale też by niepotrzebnie nie alarmować sąsiadów o swoim stanie psychicznym.

Nie do końca było jasne, czy kobieta obraża w tym momencie czajnik, bo ten co prawda zagotował wodę, ale też część wrzątku w jakiś tajemniczy sposób wypłynął, obmywając blat i parząc dłonie kobiety. Możliwe, że obrażała też siebie, bo czuła się winna, albo mężczyznę, z którym tak długo mieszkała i który zwykle zajmował kuchnię, ku jej uciechu i uldze. Bardzo prawdopodobne, że wszystkie trzy opcje były prawidłowe.

Tym razem kobieta była sama, nie licząc stadka nieśmiałych gryzoni. Mężczyzna zniknął, gdy po latach stwierdził enigmatycznie, że chce włączyć się po świecie. Bez nadmiernych wyjaśnień. Bez powodu. Bez sensu.

Rozpacz przekierowywała w gniew, by jakoś radzić sobie z całą tą, niezrozumiałą dla niej sytuacją. Nie dała mu przecież najmniejszego powodu, aby zrobił to, co zrobił. Odszedł. Może i mówił coś o tym, że tak naprawdę to nie chce jej zostawić, ale jakie to ma znaczenie? Zniknął. Nie dawał znaku życia od wieków. Nie ma go. Odszedł.

Wrzący napar melisy podrażnił jej suche usta. Skrzywiła się. Musiała się szybko zbierać, inaczej spóźni się do pracy. Wściekła

zakładała na siebie ciuchy i piła, nie zwracając zbytniej uwagi na to, że parzy sobie usta.

Cierpiała na swój sposób, doszukiwała się jakiegoś logicznego wytłumaczenia w tym, co się wydarzyło. Przecież mówił, że kocha. Przecież dbał. Całował, gdy wychodził do pracy. Przytulał, gdy wracał.

Zastanawiała się, czy to może ona robiła coś źle. Coś nie tak. Ale przecież starała się także, na tyle ile tylko potrafiła. Zawsze czuła się jakoś dziwnie przy innych ludziach i często bała się, że popełnia gafy i ludzie się z niej śmieją. Ale nie przy nim. Przy nim czuła się swobodnie. Czemu odszedł? Czemu ją zostawił?!

- Głupiek... - powiedziała cicho, tym razem patrząc na popielaty łepok szynszyl, który wychylał się spod szafy. - Chodź do mnie głupku... - dodała najczulej, jak tylko potrafiła. Zbliżyła się powoli do zwierzęcia, ale ono umknęło w bezpieczną, ciemną otchłań pod szafą, poza zasięgiem kobiety. Przestraszone objawem miłości.

Czyżby chodziło właśnie o to? O strach? Bał się zaangażować? Nieważne! Kobieta była na niego tak wkurzona, że gdyby teraz pojawił się przed nią, to chyba nie obeszłoby się bez rękoczynów. Była wściekła, że nie wyjaśnił jej lepiej, dlaczego robi to, co robi. Była wściekła, że pozostawił ją samą, w niepewności. Że nie dawał znaku życia. Że zajmował jej myśli.

Nie mogła przestać o nim myśleć, jak bardzo by nie chciała. Teraz chciała jedynie skupić się na pracy. Zbędne myśli ją tylko rozpraszały i przeszkadzały jej. Ale te natrętnie powracały i wypełniały jej umysł. Dlaczego to zrobił? Czy za bardzo go wykorzystywała? Czy robiła coś źle? Czy ojciec miał rację, gdy mówił, że nikt jej nigdy nie pokocha?

Tak spirala niepokoju otaczała ją i pochłaniała coraz głębiej i głębiej w otchłani depresji.

Usiadła i uruchomiła telefon. Stwierdziła, że nie będzie jednak spieszyć się do pracy. Nie będzie harować jak niewolnica. Czuła zmęczenie i tylko mechanicznie przeglądała kolejne wpisy na

portalach i przeglądała krótkie filmiki, które nie śmieszyły jej tak, jak niegdyś.

Natrafiła nawet na filmik, który amatorsko kręcił niegdyś on, gdy wymyślił sobie, że robi karierę na popularnym portalu. Nie wyszło mu. Przeczuciwała od początku, że tak będzie, ale mimo to wspierała go do końca.

Gdy go zobaczyła, jego nieskrępowaną brodę i łysiejące czoło, łzy tęsknoty same napłynęły jej do oczu i spłynęły słonym strumieniem po policzku. Tym razem nie potrafiła powstrzymać emocji. Łkała cicho i długo. Odłożyła telefon. Zaciśnęła mocno pięści, by nieco rozładować napięcie. Potem dopiła już wystygnięty, ziołowy napar i wreszcie zebrała resztki sił, by zmierzyć się z kolejnym, pustym dniem. Nową pracą, którą powoli zaczynała nienawidzić. Ludźmi, którzy ją irytowali.

Miała wychodzić z mieszkania, ale gdy dotknęła klamki od drzwi, nagle spłynęło na nią wspomnienie, które niechybnie wiązało się z jej utraconą miłością.

Ten wspomniał pewnego wieczoru, że wszystko jej wyjaśni, że wszystko będzie dobrze, ale coś musi się zmienić. Wtedy nie słuchała go tak dobrze, jakby chciała, zamyślona i zajęta swoimi sprawami. Ale to wspomnienie było żywe i stała teraz bez ruchu, z zamkniętymi oczami, trzymając za klamkę, by tylko nie umknęło jej ono z głowy.

Pamiętała jego zapach, gdy to mówił. Wspominał, że napisze długi list, bo gdyby chciał jej wyznać wszystko słowami, to mógłby się nie wyrazić tak jasno, jakby chciał.

To była dla niej kropla nadziei, która łagodziła tę gorycz, jaką pozostawił po sobie. Może gdzieś tam jest odpowiedź, jest wyjaśnienie. Chciała wiedzieć. Musiała. Ile by dała, żeby wiedzieć, gdzie teraz był i co robił.

Zaciśnęła oczy, by jeszcze bardziej skupić się na wspomnieniu. Pomogło. Ołśniło ją i już wiedziała. Musiał zostawić wiadomość na swoim laptopie. Wykorzystywał go do pracy, którą się akurat zajmował. Dużo pisał w ostatnim okresie, w którym żyli

razem.

Problem polegał na tym, że laptop pozostał u jego rodziców i musiałyby jechać do nich i wszystko wyjaśniać. Nie była do końca pewna, czy ma wystarczająco dużo sił na coś takiego.

Mocno przycisnęła klamkę. Stała już tak dobrych parę minut i szynszyle zaczęły chyba się zastanawiać, czy wszystko w porządku, bo jedna po drugiej wychyliły się ze swoich skrytek.

Najodważniejsza z samiczek przytuptała do jej stóp i zaczęła obwąchiwać buty.

- Co się stało kochanie? - zapytała czule i schyliła się do zwierzątka. - Ty mnie nie zostawisz, prawda? - Delikatnie pogłaskała ją po puszystym futerku. Bardzo ją to uspokoiło. Szynszylę chyba też.

Była już zdeterminowana i to była kwestia czasu, kiedy podejmie tą decyzję. Kilka miesięcy po tym, jak mężczyzna, z którym dzieliła kawał życia, odszedł od niej niewiele tłumacząc, wpadła na pomysł by dowiedzieć się czegoś więcej. By znaleźć odpowiedź.

- To co dziewczyny? Gotowe na wycieczkę? - zapytała głośno swoich podopiecznych. Trzy samiczki, jak na zawołanie pojawiły się w polu widzenia. Wszystkie po przejściach, szynszyle z odzysku. Ze sparaliżowanym uchem, albo bez nogi. Adoptowane od właścicieli, którzy nie potrafili się nimi zająć.

I tak już była spóźniona więc tylko niechętnie zadzwoniła do pracy, że bierze dziś dzień wolny. Nie bardzo to się spodobało. Nikt tak nie robił, nawet, jeśli mógł. Miała to gdzieś.

Trudniejszy był telefon do jego mamy. Siedziała długo nad smartfonem, wpatrzona w jego ekran, na którym widniały odpowiednie inicjały. Nie rozmawiała z nią od miesięcy. Co jej powie? Jak ona zareaguje? Nigdy jakoś szczególnie ze sobą nie gadały. Miała dzwonić tak po prostu?

Wahała się i cofała, ale myśli o tym, że gdzieś tam może być odpowiedź na pytanie, które spędza jej sen z powiek, stawiała się coraz bardziej natrętna.

Wreszcie zebrała się w sobie i zadzwoniła. Długo czekała, odsłuchiwała kolejne sygnały telefonu, gdy nagle usłyszała zdziwiony głos:

- Alicja? -

- Dzień dobry... - odpowiedziała powoli i niepewnie.

- Jak się czujesz kochanie? - Jej niedoszła teściowa szybko okazała czułość zamiast zdziwienia i kobieta poczuła ulgę. Nie bardzo jednak wiedziała, co ma powiedzieć i wymamrotała tylko:

- Ja... - Liczyła, że tamta przejmie ster, jak miała w zwyczaju. Nie myliła się.

- Aluniu... - Zmęczenie w głosie starszej już kobiety było bardzo wyraźne.

- Ja jestem...

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię słyszę. - Głos jego matki był przepełniony szczerością. Mówiła długo, trochę spieszenie, jakby się bała, że zapomni o czymś. Wreszcie Alicja wtrąciła się i przerwała jej:

- Proszę pani, czy ja mogłabym na kilka dni przyjechać? - Musiało to ją zaskoczyć. Milczała sekundę, czy dwie i odpowiedziała pewnie:

- Oczywiście. Zawsze jesteś tutaj mile widziana.

Kobiety wymieniły jeszcze ze sobą kilka grzeczności. Alicja przeprosiła, że nie odzywała się wcześniej. Obiecała, że opowie wszystko, co wie o jej synu, gdy tam się zjawi. Bo kobieta była równie zaskoczona jego nagłym zniknięciem. Także jej wiele nie wyjaśnił, tylko ulotnił się nagle. Musiała to przeżyć równie mocno, jak Alicja.

Spakowała w pośpiechu, co mogła. Z niemałym trudem schwytała niesforne szynszyle i najbliższym samolotem wyruszyła do Polski. Opuściła skandynawskie strony, które były jej domem od dłuższego czasu, odkąd została sama.

W pośpiechu opuściła rodzinny kraj i teraz kierowana niepewną tylko poszlaką, powracała na jego łono. Nigdy by nie przypuszczała, że tak potoczą się jej losy.

Całe szczęście, wbrew obawom, spotkała się z ciepłym powitaniem ze strony rodziny teściów. Nie planowała zostać długo. Chciała tylko jakimś podstępem dobrać się do komputera, który używał jej były. Minął jednak dzień lub dwa, zanim opędziła się od natłoku pytań, emocji i ludzi. Szczęście jej dopisało i wkrótce miała przed sobą laptopa.

Wahała się. Może się bała i serce waliło jej w piersiach. Ale po to przyjechała i nie mogła się teraz wycofać. Nawet jeśli to, co tam znajdzie, miałoby być dla niej ciosem. Woląla wiedzieć.

Otworzyła komputer. Był zakurzony, wyraźnie nikt od dawna go nie używał. Wcisnęła przycisk, ale nic się nie stało. Czyżby ten nie działał? Poszukała kabla zasilacza, podłączyła. Udało się. Wkrótce uruchomiony przed sobą miała system i na ekranie pojawił się plik. Wiadomość do niej. Miała rację. Powinna była go lepiej słuchać, wtedy może wiedziałaby od razu. W tamtej chwili była na siebie zła za to.

To był list specjalnie dla niej. Nie musiała nawet szukać. Nazwa pliku sugerowała hasło dostępu, które mogła znać tylko ona. "Najważniejsze warzywo na świecie". Zaśmiała się do siebie, gdy to przeczytała. Wpisała hasło: z-i-e-m-n-i-a-k i po chwili miała przed sobą długi ciąg słów, list, który dla niej pozostawił.

Atol był znacznie większy, niż się na to zanosilo, gdy obserwowałem go z oddali. Otaczał błękitną lagunę, gdzie udało mi się zakotwiczyć "Alicję". No i nie brakowało na nim zieleni, co raczej było dziwne. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ręka ludzka przyłożyła się do tego, co miałem przed oczami.

Niestety jednak to przeczucie było jedynym objawem obecności ludzkiej. Jak sięgnąć okiem, opuszczone wysepki stanowiły oazę dla mego wymęczonego ciała. Zostałem tymczasowym władcą tego małego świata. Bez poddanych.

Rozglądałem się niepewnie po okolicy, stąpając nagą stopą po twardej, skalistej powierzchni martwych pancerzy koralowców. Nawet nie potrafię wyrazić słowami, jak wielką ulgą było dla mnie postawienie nogi na czymś stabilnym. Jednak nie był ze mnie taki wilk morski, jak mi się zdawało. Więcej miałem w sobie chyba ze szczura lądowego. Po raz kolejny ogarnęły mnie niepokój i lęk. Strach przed samotnością.

Ludzie są stadnymi zwierzętami i nikt mi nie wmówi, że mogą długo żyć jak pustelnicy. No, może pojedyncze przypadki. Większość z nas jednak potrzebuje innych osób, żeby w pełni uzewnętrznić swoje prawdziwe ja. Nie jesteśmy samotnymi wyspami. Nie jesteśmy jak ten pusty atol na środku Oceanii.

Zmęczenie dawało mi się we znaki. Włóczyłem się po skalistej wysepce, jednej z licznych wysepek atolu i nie zauważyłem, że słońce powoli chyli się ku zachodowi. Zostały mi może ze dwie godziny, zanim pochłonie je ocean i mrok ogarnie świat. Zapowiadało się na piękną, gwiazdzistą noc.

W brzuchu burczało mi coraz głośniejszym i śmielej. Tak więc z każdym bolesnym krokiem, coraz bardziej nerwowo rozglądałem się za czymkolwiek, co mógłbym zjeść. Zielona część atolu umiejscowiona była wewnątrz laguny, więc raczej nie było szansy na to, bym jeszcze tego samego dnia dostał się do niej.

Byłem na siebie wściekły, że nie popłynąłem tam od razu. Na

nagiej wysepce, na której byłem, znalazłem tylko kamienie i rany na stopach.

Wciąż jeszcze musiałem uczyć się, jak sobie radzić z nadmiernymi emocjami, które człowiek odczuwa, gdy wie dzie pustelniczy tryb życia. Ciężko mi było walczyć z gniewem, który niechybnie wiązał się z tym, że po prostu byłem głodny jak cholera. Zjadłbym chyba cokolwiek, żółwia, małż, kraba, mewę. Jakąkolwiek roślinę, która nie byłaby jakoś szczególnie niesmaczna. Ale nie było niczego takiego! Oddałbym wszystko, co miałem, za możliwość pójścia do sklepu spożywczego. Inna sprawa, że w tamtym czasie nie miałem praktycznie nic, oprócz rozklekotanej "Alicji" i mizernego zapasu puszkowanego jedzenia.

Musiałem jakoś spożytkować te krótkie godziny, jakie pozostały mi do zmroku. Nie mogłem sobie pozwolić na większą stratę czasu. Po pierwsze, woda pitna. Niestety ta część atolu nie przedstawiała żadnych nadziei na to, żeby była tam woda zdatna do spożycia. Natomiast wewnętrzna wyspa, to co innego.

Zdjąłem ciężki plecak i zacząłem rozpakowywać mój skromny sprzęt. Obiecałem sobie tamtego dnia, że noc spędzę na suchym lądzie, bo nie ukrywam, że dość miałem spania na nieustannie chwiejącej się łajbie.

Pogoda zapowiadała się idealna, więc tylko wybudowałem z kamieni jakieś prowizoryczne ściany, żeby nieco złagodzić wieczorne oddechy bryzy. Rozłożyłem pałatkę. Nie było to najwygodniejsze łóżko, na jakim spałem, ale i tak byłem wdzięczny.

Niestety nie miałem też niczego, co mógłbym rozpalić w choćby małeńkie ognisko. Szkoda. Ogień daje jakieś poczucie bezpieczeństwa, to chyba ludzka, głęboko zakorzeniona w naszej naturze właściwość.

Wszystko wskazywało na to, że czeka mnie kolejna z tych niezliczonych nocy, wypełnionych głodem i chłodem.

Usiadłem jeszcze na chwilę, skierowany w stronę otwartego oceanu, by pomedytować w nadziei, że nieco ukoję zszarpane emocje. To był długi dzień. Moje rozwiane nadzieje na to, że

spotkam drugiego człowieka wciąż kotłowały mi się we łbie.

Wyjąłem mój nieco wilgotny od morskiego powietrza dziennik. Skórzaną okładkę pokrywała cieniutka, ale wyraźna warstewka soli. Otworzyłem. Czułem, że właśnie nachodzi mnie wena, by spisać i zrzucić z siebie ten cały emocjonalny balast, jaki narósł mi we łbie w ciągu ostatnich paru tygodni.

Całe to zrezygnowanie, ten smutek. Tęsknota za domem, za Alicją. Żal, że w ogóle się zdecydowałem na taką szaloną wyprawę. Pragnąłem jedynie pozbyć się tego wszystkiego i zasnąć w spokoju.

Wstałem na moment by rozprostować kości, wziąłem ostatni łyk odsolonej wody z bidonu. Wtedy w oddali dostrzegłem wyraźny, ciemny kształt i charakterystyczną stróżkę wody, która strzelała wesoło w górę. Czyżbym jednak miał dziś spotkać inteligentnego kompana? Czy to mógł być wieloryb?

Kiedy jest się samemu od dłuższego czasu, takie pojedyncze zdarzenia potrafią wstrząsnąć i wzruszyć dogłębnie. Pokazują prawdziwy sens życia.

Nie potrzebowałem już dziennika, by pozbyć się emocjonalnego balastu. Im bardziej majestatyczne zwierzę zbliżało się ku atolowi, tym silniej mój lęk zastępowała nadzieja i radość. Nie pamiętam już w którym momencie zacząłem podskakiwać i popiskiwać ze szczęścia. Wołałem głośno w dal w nadziei, że wielki waleń usłyszy mnie i podpłynie.

Dostrzegłem, że nie był sam. Kilka mniejszych cieni wyłoniło się z wody, co najmniej trzy. To musiała być samica z młodymi. Cóż za widok, coś za zdarzenie!

Nie miałem już władzy nad własnym ciałem. Po prostu przebiegłem te kilkanaście metrów po twardej powierzchni wyspy, nie zważając w ogóle na ból, jaki promieniował mi od poranionych stóp.

Wskoczyłem tak, jak stałem, do chłodnego oceanu i parłem do przodu, w kierunku moich nowych przyjaciół.

To była miłość od pierwszego wejrzenia. I jakże nieprawdopodobne spotkanie. Humbaki zawędrowały tak daleko na

północ i przypadkowo dotarły akurat do atolu, gdzie wylądowałem tego samego dnia. Miałem wielką nadzieję, że pozostaną tu ze mną jakiś czas.

Płynąłem tak szaleńczo w ich stronę, wbrew falom, wbrew wycieńczeniu. Wreszcie dotarłem. Wrzeszczałem wniebogłosy do rodziniki moich nowych przyjaciół. Zwierzęta zaciekawione otaczały mnie z każdej strony i po kolei wynurzały się spod tafli oceanu, który smagał coraz śmielej moim wątłym ciałem.

Krzyczałem i krztusiłem się morską, słoną wodą. Czy one mnie zrozumiały? Czy wiedziały, że jestem samotny i chcę z nimi się porozumieć?

Jeden z mniejszych humbaków podpłynął odważnie ku mnie i szturchnął mnie nosem tak mocno, że aż wciągnęło mnie pod powierzchnię wody. Nie zdążyłem wziąć zbyt głębokiego oddechu i z trudem wyłoniłem się, by zaczerpnąć powietrza. Wpadłem w panikę i zacząłem nerwowo uderzać rękoma o wodę.

Nie wiem, czy dobrze pamiętam to wydarzenie, ale dorosła samica musiała zrozumieć sytuację, bo bardzo delikatnie podpłynęła przede mną, dzięki czemu bez trudu złapałem oddech i utrzymałem się na powierzchni. Dziś nie mogę tego inaczej wyjaśnić. Po prostu zauważyła, że coś jest nie tak i pomogła mi.

Byłem wtedy tak wycieńczony, że bez jej pomocy nie byłbym w stanie powrócić na atol. Jestem przekonany, że uratowała mi wtedy życie. Gdy tak holowała mnie w kierunku lądu, coś we mnie pękło i zrodziła się we mnie ogromna pasja. Chciałem jakoś okazać jej wdzięczność. Pragnąłem poznać ją, jej gatunek tak bardzo, jak to tylko możliwe. Chronić ją i jej dzieci.

Matka płynęła konsekwentnie w kierunku lądu, a jej dzieci, plus ja, płynęliśmy posłusznie płetwa w płetwę, ramię w ramię. Mógłbym przysiąc, że słyszałem wtedy jej śpiew. Ona też chciała porozumieć się ze mną.

Cudem chyba uniknąłem śmierci tamtego dnia. Wygramoliłem się z wody i padłem zmęczony na pierwszym kawałku suchego lądu, jaki miałem pod stopami. Tak leżąc, na wpół we śnie,

wpół na jawie, obserwowałem jak olbrzymy wpływają do laguny, szeroką i głęboką cieśniną, którą ja także wpłynąłem tego samego dnia, na mojej wiernej "Alicji".

Patrzyłem na wybawicielkę z uwielbieniem. Życzyłem jej jak najlepiej. Pragnąłem, by jej dzieci wyrosły na wielkie, zdrowe wieloryby. Ubolewałem nad latami, gdy ludzie masowo polowali i wybijali te majestatyczne i inteligentne zwierzęta. Czyż one, tak, jak i my, nie chciały po prostu żyć w spokoju?

Nim zasnąłem, moje myśli powróciły jeszcze do tych utraconych dni, gdy obejmowałem Alicję, gdy całowałem ją i przytulałem do siebie. Tęskniłem za nią. Musiałem odejść. Nie mogłem pozwolić na to, co niechybnie by się stało, gdybym pozostał. Jej potencjał, możliwości, jakie w niej drzemały, pozostałyby niewykorzystane.

Byłbym dla niej niczym więcej, jak ciężarem. I tak poświęciła już dla mnie sporo z tego, o czym marzyła. Tylko dzięki mojemu odejściu mogła w spokoju oddać się pracy naukowej i medycznej. W kraju, który na nią zasługiwał.

To był długi dzień, pełen emocji i wrażeń. Mogłem zasnąć w spokoju. Na twardej i chropowatej powierzchni martwych koralowców, które tworzyły tę wysepkę. Z palącymi od zasklepionych solą ran na stopach. Z posmakiem oceanu w ustach.

Słońce nurkowało już powoli za horyzontem i pierwsze, pojedyncze gwiazdy ukazały się moim oczom. Z niemałym trudem położyłem sobie dłoń pod głowę, by nieco złagodzić niewygodę, w jakiej się znalazłem. Nie miałem już nawet siły i ochoty gramolić się do mojego prowizorycznego obozu, może kilkadziesiąt metrów dalej. Było mi już naprawdę wszystko jedno w tej chwili, co się wydarzy. Co się stanie ze mną. Tak, jakbym pogodził się ze światem. Jakbym zgodził się na śmierć. Jakbym zaakceptował wszystko.

To jednak nie był koniec tego dnia i nie był to też koniec wrażeń. Nim zasnąłem, czy też raczej padłem kamiennym snem, niczym trup, usłyszałem jeszcze wyraźny plusk wody, niezbyt daleko ode mnie, gdzieś w lagunie. Tylko spojrzałem w tamtą stronę.

Niepewny, czy to sen, czy jawa, przetarłem wolną dłońią oczy, ale tylko potraktowałem je resztkami morskiej soli, jakie miałem na rękach.

Gdy już przestały szczypać, mrugałem i mrugałem z niedowierzaniem. W lagunie wyłonił się spod wody kształt, którego nie można pomylić z niczym innym.

Było jeszcze na tyle jasno, że raczej widziałem to, co widziałem i nie był to wieloryb. Zresztą noce na takim odludziu, o ile nie ma wielkich chmur, zwykle są również przejrzyste i jasne.

I tak już nie byłem w stanie się poruszyć i jedyne, co mogłem zrobić, to po prostu oddać się nieprzebranemu zmęczeniu i zasnąć. Ale ostatni obraz, jaki miałem przed oczami, wciąż rezonował mi w głowie i snach przez resztę nocy. Wielka jak czołg łódź podwodna.

Przeczytała list po raz drugi. Wzięła głęboki oddech. Potem przeczytała po raz trzeci. I czwarty. Za każdym kolejnym razem czuła jednocześnie coraz większą ulgę, ale też coraz większy gniew.

Jej ukochany dał jej wyrażnie do zrozumienia, że nic, co robiła, nie spowodowało, że podjął decyzję, by odejść. Zapewniał ją o tym na każdym kroku, w każdym akapicie przydługiego listu. Cieszyła się, że to nie z jej winy.

Była jednocześnie wściekła, bo najwyraźniej cała ta sprawa, całe te niekończące się godziny rozmyślań i psychicznych mąk, były wynikiem niczego innego, jak zwykłego nieporozumienia. Chyba się oboje nie dogadali.

Alicja od dziecka chciała robić w życiu coś ważnego. Może i miała trudno, może przez większość młodości nie wierzyła w siebie i swoje możliwości. Mimo to parła do przodu, choć los rzucał jej kłody pod nogi.

Wyrosła na ambitną kobietę, która marzyła o tym, by oddać się pracy naukowej, by poświęcić życie dla rozwoju medycyny. Miała ku temu predyspozycje. Co prawda sama nie dostrzegała tego w sobie. Nie była do końca przekonana, że jej analityczny umysł posiada ponadprzeciętne możliwości. Nigdy tak naprawdę nie wierzyła, że może osiągnąć to, o czym marzy. Nie wierzyła w siebie samą.

Gdy spotkała tego mężczyznę i zakochała się, jej życie potoczyło się nieco innym torem, niż planowała. Najpierw wyprowadziła się w biedniejsze rejony kraju, by móc mieszkać razem z nim. Potem poświęcała kolejne rzeczy, kolejne części siebie, by tylko mogli być razem. Nigdy tak naprawdę nie porzuciła jednak swoich marzeń.

On jednak mógł widzieć to inaczej. Tak wynikało z listu. "Orzeł nie nauczy się latać, gdy przebywa w kurniku" - tak pisał, chociaż wiedział dobrze, że nie znosi ona podobnych metafor, a jej mózg preferuje twarde fakty i matematyczny opis.

Jemu marzyła się wolność z dala od społeczeństwa, cokolwiek by to miało znaczyć. Ona chciała raczej być częścią tego wszystkiego, co tworzą ludzie. Chciała być jedną z budowniczych. Pragnęła popchnąć nieco cywilizację do przodu. Czy mogłaby to zrobić z kulą u nogi, jaką niechybnie był dla niej on?

Wierzyła, że mogła. Może i poświęcała w życiu pewne rzeczy, żeby mogli być razem. Może i chodziła na kompromisy częściej, niż powinna. Ale nigdy nie robiła tego kosztem swoich marzeń. Zrozumiał to zupełnie źle.

- Głupek... - wyszeptała i schowała twarz w dłoniach, gdy skończyła czytać wiadomość po raz piąty. Całe szczęście wiedziała już to, co chciała. Wiedziała już, dlaczego ją zostawił. To wszystko, to było wielkie nieporozumienie.

- Odnajdę go - powiedziała niepewnie, gdy żegnała się z jego rodziną. Jego matka tylko skinęła głową, nie kryjąc smutku.

- Trzymaj się kochanie i dbaj o siebie - powiedziała czule, przytulając ją mocno, jakby przyciskała do serca połowę własnego synka.

Alicja nie mogła tego tak zostawić. Nowa praca, którą rozpoczęła w Norwegii, nie była tak satysfakcjonująca, jak miała nadzieję, że będzie. Ludzie denerwowali ją swoim zachowaniem. Z ulgą więc złożyła wypowiedzenie w trybie natychmiastowym. A właściwie to po prostu zrezygnowała w duchu i przestała już tam chodzić.

Trudno. Teraz chciała jedynie odnaleźć ukochanego. Wyjaśnić mu wszystko. Wcale nie uważała, że przez niego się nie rozwija i nie osiągnie kariery. Wszystko zrozumiał źle.

Zmieniła się więc w detektywa. Nie było to nic trudnego dla jej umysłu. Po prostu czysta analiza faktów. Ale też dużo kontaktów z różnymi ludźmi.

Kiedy ostatni raz widzieli się ze sobą? To było cztery miesiące wcześniej. Alicja właśnie miała podpisać kontrakt w dużej, norweskiej firmie biotechnologicznej, która zajmowała się badaniami genetycznymi. Mimo niewielkiego doświadczenia przyjęli młodą

lekarke z otwartymi rękami.

Była wtedy bardzo przejęta tą sytuacją, która przecież miała wpłynąć na całej ich życie. To dlatego nie słuchała dokładnie tego, co jej mówił. Może też nie chciała słyszeć.

Wyjechała wtedy sama na tydzień, żeby wszystko dograć, a on wrócił w rodzinne strony, bo właśnie skończył jedną z licznych, sezonowych prac, w których się specjalizował. Nie przypuszczała wtedy, że to będzie ostatni raz, kiedy się widzą. Po prostu bez zbędnych wyjaśnień, pewnego dnia on zniknął.

Gdy wracała do tych dni we wspomnieniach, miała wrażenie, że rzeczywiście próbował jej powiedzieć i wytłumaczyć. Nie rozumiała, co miał na myśli.

Sprzedawała wszystko, co miała. Nie było to szczególnie trudne. No i okazało się, że przez te kilka miesięcy pracy w dużej firmie zarobiła całkiem sporo. Mogła sobie pozwolić na długie poszukiwania ukochanego.

Jego rodzice niestety nie dali jej żadnych wskazówek. Sami nie wiedzieli nic. Byli w szoku, że ich syn tak po prostu zniknął. Zabrał duży plecak i trochę rzeczy. To wszystko.

Alicja miała teraz dostęp do jego komputera. Skrupulatnie przeszukała więc całą zawartość dysku, w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić ją na właściwy trop. Sprawdziła wszystkie strony internetowe i wszystkie wpisy w historii wyszukiwania. Przeszukała zawartość folderów i każdy pojedynczy plik.

Już tylko to dało jej dobry, ogólny obraz tego, co planował od dawna. Początkowo chciał po prostu wyruszyć w Polskę i wędrować bez celu, biwakując, gdzie się tylko dało. Wyszukiwał więc informacji na temat tego, jak można legalnie i nielegalnie spać w lasach lub gdzie można za darmo przekoczować.

Potem jednak zmienił plany i wyraźnie szukał czegoś więcej. Składał pieniądze. Przypomniła sobie, że bardzo oszczędzał przez ostatnie miesiące, gdy byli razem. Zbierał na coś. Wiedziała już też, na co. Na łódkę.

Jak mogła niczego nie podejrzewać, gdy pewnego dnia stwierdził, że nauczy się pływać motorówką i może zrobić jakieś uprawnienia czy coś. To było zupełnie nie w jego stylu. Początkowo wydało jej się to dziwne, ale szybko zapomniała o tym, pod naporem codziennych spraw i stresu, związanego z wymagającym życiem lekarki.

Stało się dla niej jasne, że musiał zbierać pieniądze i kupić sobie łódkę. W ostatnich dniach, jakie dostępne były w historii wyszukiwarki, przeglądał rzeczywiście jakieś niewielkie łodzie, które oferowane były na sprzedaż. To był jej trop. Nie miała daleko. Akurat pochodziła znad Bałtyku, więc musiała tylko głębiej pogrzebać, podzwonić i popytać się.

Wreszcie trafiła. Kobieta, która sprzedawała łódź i której telefon był na stronie, którą on przeglądał. Cena zgadzała się z tym, co mógł uskładać.

Udało jej się dodzwonić i umówiła się na rozmowę jeszcze tego samego dnia. Nie zwlekała.

Mimo ciepłej zimy, nad Bałtykiem wiały mocniejsze, niż zwykle wiatry. Smagały jej twarz, czochrały włosy. Ale dawały jej też poczucie, że żyje i że jest prawdziwa. Chyba utraciła trochę tego uczucia, gdy oddała się pracy. Poświęciła się dla swoich marzeń.

Celowo teraz odwlekała moment spotkania z kobietą i z wolna przemieszczała się nadmorskim spacerakiem. Niektóre ptaki wciąż nie odleciały w ciepłe kraje, tylko wyskubywały rzucone przez ludzi kawałki chleba, albo skulone przytulały się do siebie, by nieco się ogrzać.

Wreszcie dotarła na miejsce. Miła starsza pani tylko uśmiechnęła się na jej widok. Podrapała się po siwych, rozczochranych włosach, zaprosiła na herbatę.

Alicja pokazała jej zdjęcie mężczyzny, na co tamta zaśmiała się tylko:

- Tak - stwierdziła lakonicznie.

- Czyli to on kupił od pani łódź? - Alicja próbowała ukryć podekscytowanie, ale niezbyt jej to wychodziło.

- Spokojnie dziecko, napij się, zmarzłaś. Strasznie dziś wieje.
- Alicja tylko posłusznie wychyliła łyk przyjemnie ciepłej herbaty. Pozwoliła kobiecie mówić dalej. - Strasznie gadatliwy ten twój mąż. - Zaśmiała się, gdy to powiedziała. - Jak wam się układa?

- My, ja... - Alicja zmieszana się, ale kobieta od razu rozpoznała, o co chodzi. Tylko powiedziała:

- Tak, oni wszyscy są tacy sami. To on. To on kupił ode mnie łódź. - Palcem dobitnie wskazała na postać ze zdjęcia.

- Czy on wspominał cokolwiek o tym, gdzie chce płynąć?

- Mówił tak dużo - kobieta zamyśliła się, sięgała pamięcią do tamtego spotkania - nie sądzę. Raczej tylko gadał, że chce płynąć, gdzie go wiatr poniesie. Nic szczególnego.

Alicja była nieco rozczarowana, ale siedziała spokojnie. Pozwalała, by starsza pani mówiła dalej. Ta była szczupła, wręcz koścista, ale poruszała się bardzo sprawnie po ciasnej kuchni. Wciąż nie opuszczała ją werwa, sprawność, żywotność.

Wreszcie, zupełnie niespodziewanie, starsza kobieta wypaliła:

- To co kochanie, płyniemy go szukać? - Alicja na początku nie bardzo wiedziała, co kobieta ma na myśli. Tamta kontynuowała, widząc jej konsternację:

- Dość mam już tego siedzenia na tyłku. Całe życie spędziłam w morzu. Wszyscy naokoło tylko mówią mi, żebym wreszcie sobie odpoczęła. - Kobieta wyraźnie się poirytowała. - To co sądzisz?

- Ale jak to? - Wciąż do niej nie docierało, co kobieta jej proponuje.

- Widzisz dziecko, mam doświadczenie w żegludze. A ty wyglądasz na zdeterminowaną - Wyjęła z lodówki kolejny kawałek placka, który musiała upiec sama.

- Nie myślałam jeszcze - zaczęła Alicja, ale kobieta przerwała jej.

- Dziecko, to jest problem współczesnych czasów. Wiesz czym mnie urzekł twój mąż? - Alicja pokiwała przecząco głową. -

Sprawiał wrażenie takiego, co nie myśli za dużo. - Obie kobiety zaśmiały się porozumiewawczo. - Sprawiał wrażenie, że chce po prostu żyć, chwytając dzień. Marzyła mu się wolność. Dlatego kupił swoją zardzewiałą łajbę, myślisz, że to przemyślał?

Kobiety milczały dłuższą chwilę, przerywaną tylko kolejnymi łykami ciepłej herbaty. Alicja powoli trawiła tę informację. Jeśli jej ukochany wyruszył w morze, to chyba jedynym sposobem, aby go odnaleźć, było wyruszyć za nim. Ona sama nie miała żadnego doświadczenia w tej kwestii. Potrzebowała pomocy. Pomoc trafiła jej się na tacy, anioł stróż wcielił się w starszą panią marynarz.

To było zupełnie nie w jej stylu. Normalnie nigdy by się nie zgodziła na coś takiego. To było prawdziwe szaleństwo, jazda bez trzymanki, roller coaster. Ale czy miała inne wyjście? Jeśli naprawdę chciała odnaleźć ukochanego, wyjaśnić mu wszystko, przytulić po raz kolejny, to nie miała innego wyjścia. Musiała improwizować.

- Ja nie wiem, co powiedzieć - przerwała nieśmiało milczenie.

- Wiesz dziecko, nic nie mów. Po prostu mi zaufaj. Zaufaj przeznaczeniu. - Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie do Alicji. - Jutro wszystko obgadamy. Nawet nie wiesz, ile mi nadziei przyniosłaś!

- Ja tylko...

- Masz gdzie przenocować? - Kobieta nawet nie pozwoliła jej dokończyć. Zniknęła gdzieś na chwilę, wyszperała pościel z szafy i wkrótce Alicja spała u tej obcej osoby, pełna nadziei na przyszłość.

Dziwne sny nawiedziły mnie tamtej nocy, a gdy się zbudziłem wczesnym rankiem, wiedziałem już, dlaczego. Grupka odzianych w stare, wysłużone mundury mężczyzn, grała sobie wesoło i gwarnie w piłkę. Za boisko służył im kawał płaskiej wysepki, na której akurat spędziłem noc.

Jeden z mężczyzn kopnął piłkę w taki sposób, że wylądowała tuż przy mnie, prawie uderzając mnie w głowę. Przez myśl przeszło mi, że zrobił to celowo. Byłem jednak zbyt podekscytowany obecnością innych ludzi, aby jakoś szczególnie zwrócić na to uwagę. Wstałem pośpiesznie i wymachując rękoma popędziłem w kierunku moich nowych znajomych.

Nie wiem, czy przestraszyła ich moja nagła pobudka, ale zareagowali nerwowo, krzyczeli coś w języku, którego nie znałem. Jeden z nich, postawny o szerokich barkach, ostrzyżony krótko, jak przystało na żołnierza, wskazywał na mnie żywo ręką, jednocześnie mówiąc coś do drugiego z mężczyzn. Z tej mowy ciała wyczytałem, że tamten musiał być dowódcą tego kilkunastoosobowego oddziału.

Jednym, pewnym skinieniem dłoni uspokoił on całą gromadkę i podszedł do mnie bliżej.

- English? - zapytał lakonicznie. Całe szczęście, że angielski stał się językiem uniwersalnym. Dzięki temu gdziekolwiek nie znaleźlibyśmy się na świecie, istniała duża szansa, że będziemy mogli się dogadać.

- Tak. Jestem Edward. - Wyciągnąłem w jego stronę przyjazną dłoń. Spojrzał na nią, jakby sondował moje intencje. Ostatecznie uściśnął ją, bardzo mocno i kątem oka dostrzegłem kaburę z pistoletem, która wcześniej chowała się gdzieś przy jego biodrze.

- Co tu robisz Edward? - Miał duże problemy z wymówieniem mojego imienia, język mu się poplątał. W normalnych warunkach uznałbym to za zabawne, ale w tamtej sytuacji raczej się zakłopotalem i przez moment chciałem nawet spróbować go

poprawić, nauczyć. Pozbyłem się jednak tego zamiaru, bo natłok myśli i słów, które chciałem wypowiedzieć, zwyczajnie mi na to nie pozwolił.

Wsluchiwał się dłuższą chwilę we wszystko, co mówiłem, ale nie miałem pewności, czy mnie do końca rozumie. Nagle przerwał mi w połowie zdania:

- Jesteś tu sam, Edward? - Tym razem wypowiedział moje imię nieco lepiej. Wybity z własnego słowotoku tylko skinąłem szybko głową na potwierdzenie. Mężczyzna zwrócił się wtedy do kompanów, nie wiem do końca, co miał na myśli. Być może skomentował mój wygląd, albo porównał do jakiejś fikcyjnej postaci, którą być może mu przypominałem. Tamci zaśmiali się głośno i wulgarnie. Pozwolił im tak śmiać się może kilkanaście sekund, po czym skinął delikatnie dłonią. Mężczyźni zamilkli.

- Edward! - wykrzyczał, zbliżył się do mnie i uśmiechnięty objął mocno ramieniem. Poczułem się nieswojo, ale jednocześnie rad byłem niezmiernie z tego objawu ludzkiej zażyłości. Naprawdę brakowało mi już kontaktu z innymi ludźmi.

Chłopaki do tej pory stali jak wryci, ale widząc radosną minę swojego szefa, szybko się rozluźnili i zajęli swoimi sprawami. Jeden z nich, bardzo szczupły i wysoki, wziął piłkę i podbijał ją niezdarnie na kolanie. Dwójka kolejnych zaczęła wypakowywać z wielkiej torby butelki pełne nieznanego mi płynu. Domyślałem się, co to było. Usiedli przy prowizorycznych, niewygodnych siedzeniach z kamieni, przy skromnym, ale jasnym ognisku.

Ognisko! Dopiero w tamtej chwili zauważyłem, że udało im się je rozpałić. To był prawdziwy balsam dla moich umęczonych oczu. Mężczyźni zaprosili mnie do siebie i łamanym angielskim próbowali się ze mną porozumieć. Jeden z nich nalał mi do pojemnego, metalowego kubka całkiem sporą ilość cieczy z jednej z butelek i podał do picia.

Wahałem się, ale nie chciałem zawieść nowych przyjaciół. Wychyliłem powoli zawartość kubka. Paliła mnie w gardło jak cholera! To był jakiś bardzo mocny trunek, wódka, albo nawet

bimber. Zakrztusiłem się, tak dawno nie piłem alkoholu. Śmiali się głośno, ale przyjacielsko, z tego mojego małego nieszczęścia. Potem dopełnili mi jeszcze jedną kolejkę.

Nie zauważyłem nawet, że chłopaki pieką coś w ognisku, jakieś jedzenie, chyba mięso. Ślinka pociekła mi z ust na sam zapach i musiałem chyba wpatrywać się w ruszt, bo jeden z mężczyzn z uśmiechem podał mi kawałek. Mięso. Trochę tłuste, ale wyśmienite. Nie potrafię opisać uczucia, które towarzyszyło mi, gdy połykałem kolejne kęsy. Dla mnie, wtedy, była to chyba namiastka raju. Głód jest najlepszą przyprawą. Nie interesowało mnie wtedy w ogóle, co to było za mięso. Zresztą przyjaciele nie dali mi czasu na to, by się zastanawiać.

Pili wesoło, grali w piłkę, jedli. Byłem na uczcie i chciałem wyciągnąć z tej uczty jak najwięcej. Chciałem nasycić się obecnością innych, zanim znikną tam, skąd przybyli. Tak bardzo tego potrzebowałem. Tak usilnie błagałem bóstwa o to, by móc spotkać kogoś innego. I udało się. Moje modły zostały wysłuchane. Najpierw spotkałem wielorybicę z młodymi. A teraz prawdziwych ludzi, mężczyzn, kompanów. To był wspaniały dzień. Dzień, który szybko mijał.

Słońce było już wysoko na niebie i zdałem sobie sprawę z tego, że musiałem spać bardzo długo, zanim mnie obudzili. To było niezwykle miłe z ich strony, że pozwolili mi odpocząć.

Alkohol szumiał mi już w głowie i kołysał tak, jakbym był na morzu. Nawet nie pamiętam dokładnie kiedy, znalazłem się na pontonie z chłopakami i płynęliśmy na wewnętrzną, zieleńszą część atolu. Rośliny, tak dawno nie widziałem głupiego liścia czy choćby żdźbła trawy.

Jakaż więc była moja radość, gdy okazało się, że na wewnętrznej wysepce rosną palmy kokosowe. Chłopaki radośnie rzucali, czym tylko mogli, żeby zrzucić na dół twarde, wielkie orzechy. Po wielu bezowocnych próbach jeden z nich spojrzał na mnie i próbował powiedzieć mi, żebym wyszedł do góry na pień. Nie chciałem ich zawieść i chociaż ten pomysł za bardzo mi się nie

podobał, bo palma była wysoka, jej kora chropowata i stroma, to nieudolnie zacząłem się wspinać.

Koledzy na początku wpatrywali się z nadzieją, jak mozolnie pokonywałem kolejne centymetry. Zaśmiali się, gdy ześlizgnąłem się nieco, straciwszy równowagę, przy czym obtarłem sobie jeszcze bardziej moje już i tak dziurawe dżinsy.

Cudem chyba tylko dotarłem na sam szczyt i z niemałym wysiłkiem zrzuciłem na dół te kilka twardych orzechów. A widok z góry zapierał dech w piersi, nawet pomimo tych wszystkich promili, które krążyły mi we krwi i rozmywały to, co widziałem.

Rozglądając się na wszystkie strony mogłem dostrzec całość atolu. Rzeczywiście był dość spory, ale akurat wysepka w centrum była raczej skromna. Ocean rozciągał się we wszystkie strony, aż po horyzont. Widziałem też moją łajbę, która była jak łupinka orzecha w porównaniu z cieniem, jaki rzucał na przejrzystej wodzie podwodny okręt moich przyjaciół.

Zastanawiałem się, gdzie mogą być humbaki, które przecież jeszcze wczoraj widziałem. Nie było po nich śladu.

Zejdźcie na dół, to była prawdziwa mordęga. Zsuwałem się centymetr po centymetrze. Ze stóp musiała już sączyć mi się krew, ale nawet nie byłem w stanie się wychylić, żeby to sprawdzić.

Przy ostatnich dwóch lub trzech metrach straciłem kontrolę i po prostu runąłem w dół, zdzierając sobie przy tym skórę na przedramionach. Nic sobie nie złamałem, ale jeszcze długo chodziłem jak kulawy, bo chyba nadwyrężyłem sobie coś w stawie kolanowym.

Dopiero na dole dotarło do mnie, jak głupim pomysłem była wspinaczka na to drzewo, pod wpływem alkoholu, z dala od opieki zdrowotnej. Zresztą w pierwszej chwili nawet zapytałem moich nowych kolegów, którzy nie wyglądali na zbyt wzruszonych moim upadkiem, czy nie ma pośród nich jakiegoś sanitariusza. Zbyli mnie jednak lub też może po prostu nie zrozumieli, o co mi chodzi.

Byli zbyt zajęci rozłupywaniem orzechów kokosowych, które z takim trudem zrzuciłem. Ogromnymi nożami myśliwskimi

dobierali się do ich wnętrza, wiercili otwory. Wreszcie jednemu z nich się udało i zaraz pił on wodnistą zawartość. Chyba niezbyt mu smakowała. Za jego śladem poszli kolejni. Jeden z nich poczęstował mnie, woda kokosowa była raczej bez smaku, może nieco gorzkawa.

Spenetrowaliśmy razem resztę wysepki. Nie znaleźliśmy niestety nic ciekawego. Ot kawałek skały, porośnięty z rzadszą niewielką liczbą roślin kilku gatunków. Poza tym żywej duszy, najmniejszego nawet zwierzęcia.

Dzień minął nam bardzo szybko. Kiedy pod wieczór wódka powoli wietrzała mi z głowy i pojawiły się pierwsze, trzeźwiejsze myśli, postanowiłem porozmawiać na osobności z mężczyzną, który według mojego osądu musiał być przywódcą tej wesołej kompanii.

Początkowo nawet nie było go z nami. Siedziałem więc spokojnie i raczej cicho, grzejąc się przy wątłym ogniu i delektując się kolejnymi kawałkami pysznego mięsa z rusztu. Któryś z chłopaków przyniósł jakieś deski, porąbał je na mniejsze kawałki i dorzucił do ogniska. Inny przyniósł wielki, ciężki płat mięsa, które jedliśmy.

Nagle w jednym momencie stało się dla mnie jasne, co stało się z rodziną humbaków. Płat mięsa miał wyraźną, ciemną skórę. Musiał on pochodzić z jednego z nich. Moi nowi koledzy po prostu zabili to zwierzę, może nawet nie jedno. Ofiarą pewnie padło jedno z młodych i mężczyźni obrabiali jego ciało gdzieś w pobliżu.

Poczułem obrzydzenie do siebie samego. Jeszcze wczoraj jego matka uratowała mi życie, dzisiaj ja zjadałem jej dziecko. Może i nieświadomie, ale jednak. Zebrało mi się na wymioty, a rozkładający się we krwi alkohol tylko temu sprzyjał.

Najpierw odszedłem dyskretnie gdzieś w ustronną część wyspy. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Chłopaki zajęci byli swoimi sprawami.

Gdy już upewniłem się, że raczej nikt mnie nie obserwuje, zwróciłem część tego, co jadłem. Głowa zaczęła mnie boleć, chciało mi się pić. Pragnąłem jedynie oddalić się od nowych przyjaciół i

przespać.

Fakt, że powoli robił się wieczór, więc skierowałem się do mojej "Alicji". Chyba miałem już dość towarzystwa, jak na jeden dzień. To były dobre chłopaki, dlaczego musieli mi zepsuć ten dzień i upolować jednego z moich dobroczyńców? I to podwójnych dobroczyńców, bo nie dość, że zwierzęta uratowały mi życie, to jeszcze dzięki nim byłem syty, jak nigdy.

Odpłynąć. Tak. Poczułem wtedy, że muszę się ulotnić. Bez słowa pożegnania. Poczucie winy było bardzo silne i gdy tylko wszedłem do łodzi, postanowiłem, że ucieknę stamtąd jak najszybciej. Musiałem tylko poczekać, gdy chłopaki zasną. Wtedy będę mógł zniknąć, a nikt nie będzie mnie niepokoić.

Wszedłem do kajuty i miałem nieodparte wrażenie, że czegoś w niej brakuje. Ściemniało się powoli, a przytłumione światło mojej pokładowej żarówki nie było na tyle jasne, żebym widział dobrze. Zignorowałem więc to wrażenie, uzupełniłem dziennik pokładowy, co zajęło mi więcej czasu, niż zazwyczaj. Tyle się wydarzyło, było o czym pisać.

Walczyłem jeszcze jakiś czas z narastającą sennością, a gdy zmrok zlał się na atol, podszedłem do silnika, by go odpalić. Pomyślałem, że mniejsza już o paliwo. Ważne, żeby jak najszybciej zniknąć.

Silnik niestety odmówił posłuszeństwa i moje próby spełzły na niczym. Wściekłem się, że musiał się zepsuć akurat wtedy. Z głupia zerknąłem na wskaźnik paliwa - zbiornik był pusty. Zdziwiłem się tym, bo byłem przekonany, że jest przynajmniej połowa, ale zamiast się zastanawiać, tylko poszedłem po zapasowy kanister, który trzymałem w kajucie. Nie było go. Zresztą nie było też drewnianej skrzynki, w której go przechowywałem z paroma innymi rzeczami.

Eh, moi nowi koledzy chyba pożyczili sobie ode mnie kilka rzeczy.

Alicja spała bardzo niespokojnie, wierciła się i budziła. Miała wrażenie, że zaraz wskoczy na łóżko jedna z jej szynszyl, bo słyszała jakieś dźwięki w tle. Wrażenie było złudne, bo sama zostawiła zwierzęta w opiece młodej dziewczynie, która ogłaszała się na jakimś portalu internetowym. Zostawiła jej też trochę ich rzeczy, jedzenia i pieniędzy. Zostawiła również niepewną informację o tym, kiedy wróci i je odbierze.

Na zewnątrz było jeszcze ciemno, ale z kuchni obok, gdzie noc spędzała na kanapie starsza kobieta, zaczęły dochodzić pierwsze dźwięki. Tamta musiała już wstać. Alicja przeciągnęła się, ziewnęła i usiadła na skraju łóżka. Cała ta sytuacja wydała jej się bardzo surrealistyczna. I tak nie miała lepszego pomysłu, więc postanowiła w duchu, że zaufa tej kobiecie.

Ubrała się niezdarnie i nieśmiało wychyliła zza framugi.

- Wstałaś kochanie? - Kobieta czule wskazała na parującą filiżankę, która stała na niezbyt dużym stoliku pod oknem. Alicja skinęła głową i usiadła. Objęła dłońmi kubek ciepłej kawy. Pachniała, jak kawa zbożowa.

- Proszę pani... - Chciała o coś zapytać, nawiązać jakiś kontakt.

- Mów mi Freja dziecko. - Kobieta swoim zwyczajem nie dała jej dokończyć, gdy tylko zauważyła, że tamta się waha. Alicja po raz kolejny skinęła głową. Spróbowała gorący łyk napoju. W pomieszczeniu było dość zimno, przez co wzdrygnęła się.

- Idziesz ze mną pobiegać? - Starsza kobieta zapytała, ubierając na siebie gruby, wełniany sweter. Alicja mogła teraz na spokojnie się jej przyjrzeć. Była raczej szczupła, ruchy miała jednocześnie powolne i żwawe momentami. Siwe włosy farbowała na jakiś delikatny odcień niebieskawego fioletu. Na nosie grube okulary, z którymi wyraźnie się nie rozstawiała, dodawały jej dostojeństwa i mądrości.

- Pani maluje? - Alicja dopiero teraz zwróciła uwagę na

niezliczone, abstrakcyjne obrazy, które zamiast tapet zdobiły wnętrze drewnianej chaty. Nie zważała na prośbę kobiety, by zwracała się do niej po imieniu. Odczuwała do niej zbyt duży szacunek, by tak robić.

Freja pokiwała głową z uśmiechem.

- To co, idziemy? - Wkrótce obie biegły opustoszałą plażą, a poranna bryza czochrała ich nagie włosy. Było zimno i dopiero zaczynało się rozjaśniać.

Starsza pani musiała mieć bardzo dobrą kondycję, bo pomimo szybkiego tempa bez większego problemu rozmawiała z Alicją:

- Opowiedz mi o tym swoim mężczyźnie. Naprawdę warty jest twojej uwagi?

- Tak proszę pani. - Alicja odpowiedziała krótkim zdaniem, bo wyraźnie brakowało jej oddechu.

- Mam na imię Freja.

- Jak ta bogini?

- Ta sama. Moi rodzice, a właściwie moja matka, mieli bzika na punkcie nordyckiej mitologii. Chyba dlatego zdecydowała, że zostanie żołnierzem... - Freja zamyśliła się. - A Twój ukochany, jak ma na imię?

- Edward. Ale mówię mu pieszczotliwie "Edek".

- Edek? Dobre imię dla psa. - Freja zaśmiała się. - A chociaż wierny? Dlaczego musisz go szukać? - Alicja spojrzała w dal, na wysokie wydmy i poszarpane falami morze. Wzięła głęboki oddech.

- Ja nie wiem...

- Co cię trapi dziecko, śmiało. - Freja naciskała, by tamta powiedziała jej o tym, co ciążyło jej na sercu.

- On mnie zostawił, to znaczy wyjechał...

- ...I nie wyjaśnił dlaczego, tak? - Starsza kobieta raczej nie była zaskoczona. Życie pokazało już jej niejedno.

- Ale to nie jego wina, po prostu my... - Alicja przerwała, by wziąć oddech, w tym czasie Freja dokończyła za nią:

- Nie dogadaliście się?

- Tak. - Alicja posmutniała.

- No tak, większość konfliktów bierze się z faktu, że ludzie nie umieją się dogadać.

Kobiety chwilę biegły w milczeniu, smagane słońcem i wilgotną bryzą. Słońce wynurzyło się zza horyzontu morza pomarańczową kropką. Od razu zrobiło się cieplej.

- Wracajmy. - Freja nie wyglądała na zmęczoną. Alicja też nie, nie miała czasu, by odczuwać zmęczenie. Pobiegły z powrotem, tą samą trasą po plaży. Starsza z nich boso i w grubym, wełnianym swetrze o kolorze brudnego morza. Młodsza w ciuchach trochę za bardzo eleganckich do porannego biegania.

Gdy już zbliżały się do chaty kobiety, Freja powiedziała:

- Idź sama dziecko. Ja coś załatwię i wrócę jak najszybciej. W lodówce znajdziesz coś do jedzenia. - Alicja skinęła na potwierdzenie i kobiety rozstały się. Przez moment zastanawiała się, że przecież nie dostanie się do środka, bo nie ma klucza. Okazało się jednak, że chata kobiety stoi otwarta. Widocznie Freja nie przejmowała się zbytnio takimi błahostkami, jak bezpieczeństwo jej dobytku.

Alicja miała okazję, by rozejrzeć się dookoła domku. Był to raczej domek letniskowy, ale Freja spędzała w nim zimę i z pewnością stanowił on dla niej stałe schronienie. Nieogrodzony, oddalony od innych, podobnych chatek. Od morza oddzielały go tylko zarośnięte krzakami, obłe pagórki piaszczystych wydmy.

Przed domkiem stał bujany fotel i mały stolik, skierowane w stronę morza. Niestety wydmy zasłaniały widok wschodzącego słońca.

Alicję zagnał do środka chłód. Rozglądała się za jakimś ogrzewaniem, w kącie stał jedynie mały piecyk. Zimny.

Lodówka była praktycznie pusta, ale tak, jak mówiła Freja, był w niej garnek do połowy pełny kremowej, pomarańczowej zupy.

Alicja powąchała, zapach coś jej przypominał, ale nie wiedziała do końca co. Z kuchennej szafki wyjęła miskę i nalała sobie porcję. Niestety była zimna.

Postanowiła, że napali w piecyku. Nie miała pojęcia, jak się za to zabrać. Niechętnie wyszła na zewnątrz w poszukiwaniu czegoś, co nadałoby się na opał.

Wydmy porastały nieprzebrane łany gęstych, kolczastych roślin, których Alicja nie potrafiła rozpoznać o tej porze roku. Ale ich pędy były zdrewniałe, więc raczej nadawały się na paliwo. Przy użyciu narzędzi, które znalazła w chacie, z niemałym trudem nazbierała całkiem spory zapas i zgromadziła wewnątrz domku.

Była z siebie bardzo dumna, gdy po kilku nieudanych próbach, ciepły płomień wreszcie zamigotał i zapłonął.

Na piecyku przygrzała zupę, także z myślą o głodnej Frei, która miała wrócić niebawem.

Potrawa miała konsystencję kremową, w smaku była całkiem dobra, lekko kwaskowata i pikantna. Nie przypominało jej to niczego, co jadła do tej pory. Alicja była bardzo głodna, więc łakomie spałaszowała dużą porcję. Zanim skończyła, w drzwiach zjawiła się Freja.

- Napaliłaś! Dziękuję kochanie.

- Odgrzałam też zupę... - Nieśmiało położyła talerz po drugiej stronie stołu.

Freja, zanim usiadła, zajrzała jeszcze do pieca, wyszła na moment i wróciła ze sporym zapasem drewna w ramionach.

- Drewno suszy się w schowku za domkiem.

- Nie wiedziałam, nazrywałam trochę tych krzaków...

- To dzikie róże. Rozpleniły się po wydmach i ciężko się ich pozbyć. Ale przynajmniej jeden z nich pożytek. - Freja wskazała wymownie na gorącą zupę. Alicja nie wiedziała, o co jej chodzi. - Smaczna?

- Tak, bardzo dobra. Nigdy nie jadłam czegoś podobnego.

- To moja specjalność. Zupa z owoców róży i rokitnika. Może i nie ma za dużo kalorii, ale jest pełna witamin i życia. - Kobieta zaśmiała się, jakby rozbawiło ją to, co sama powiedziała.

- Z rokitnika?

- Tak, ale ciiii. - Freja porozumiewawczo przyłożyła palec do

ust. - To chroniona roślina i nie wolno jej u nas zbierać. Rośnie jej w okolicy całkiem sporo, tam, na skałach - wskazała ręką w sobie tylko znanym kierunku - więc szkoda, żeby owoce się miały marnować.

Gdy kobiety skończyły jeść, Alicja posprzątała ze stołu i pozmywała. Freja wreszcie przerwała milczenie:

- To jaki masz plan dziecko? - zapytała, po raz pierwszy chyba z powagą w głosie.

- Ja... - Alicja wahała się dłuższą chwilę.

- Rozumiem. Popytałam rano wśród miejscowych. Chyba wiem, kto będzie nam mógł pomóc. Kapitana już masz. - Freja uśmiechnęła się dumnie i uderzyła w pierś. - Znam też kogoś, kto pożyczy nam łódź. Łapserdak wisi mi przysługę. - Zamyśliła się.

- Ale najpierw to upiekę chleb, a ty sobie jeszcze odpocznij i przemyśl wszystko.

- Ja nie wiem...

- Podziękujesz, jak go odnajdziemy. Cholera, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że się poznałyśmy. Myślałam już, że umrę z nudów w tej trumnie. - Zrobiła rękami gest, wskazując na swój mały domek.

- Pani mieszka tutaj sama?

- Tak, samiutka jak palec. Myszy są mi przyjaciółkami. I mewy.

- Takie prawdziwe myszy? - Alicja nie wiedziała, czy kobieta żartuje, czy mówi poważnie.

- Tak, myszy czasem przychodzą tutaj i buszują po kuchni, kiedy śpię. Często zostawiam im wodę czy jakieś resztki, bo żal mi tych małych diablików.

- Czyli te odgłosy w nocy?

- Nie zdawało ci się. - Freja zaśmiała się głośno.

- Śniło mi się, że to moje szynszyle tak harczą.

- Szynszyle powiadasz?

- Tak, opiekuję się trzema samiczkami. - Alicja rozluźniła się.

- Szynszyle to dopiero diaby!

- O tak. - Alicja nie mogła zaprzeczyć. Zachichotała, chyba

po raz pierwszy, odkąd tam trafiła. Napsuły jej krwi, te trzy drobne gryzonie.

Kobiety skończyły rozmowę i Freja zabrała się za pieczenie chleba. Dołożyła do pieca kawał drewna, wyjęła z szafki drewnianą miskę, w którym już kvasiło się ciasto. Kilкома sprawnymi ruchami uformowała bochenek.

Zbliżyła dłonie do ciasnego piekarnika, który był połączony z piecykiem, jakby chciała sprawdzić temperaturę. Potem powoli i uważnie włożyła do środka kulisty, surowy bochenek. Alicja obserwowała, jak rośnie w oczach i zmienia barwę na ciemniejszą.

- Załatwimy dzisiaj wszystko, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Możemy wyruszać choćby jutro, pogoda powinna sprzyjać. Co ty na to? - Alicja i tak nie miała innych pomysłów.

Wkrótce próbowała świeży, gorący chleb, który był tak dobry, jak nic, co jadła kiedykolwiek w życiu.

- Nie wiem, jak się pani odwdzięczę... - powiedziała cicho.

- Na początek możesz mi zacząć mówić po imieniu - nalegała starsza kobieta. Była jednak tak charyzmatyczna i odczuwało się do niej tak duży szacunek, że Alicja z trudem przyjęła, że mogła by zwracać się do niej per Freja, zamiast "proszę pani". Mimo tego skinęła głową i wzięła kolejny, chrupiący kęs pachnącej drożdżami pajdy.

Przed południem bryza, która do tej pory świszcziała gdzieś w tle i grała głuche melodie na sąsiednich wydmach, ucichła nagle. Błogą ciszę przerywały już tylko trzaskające w piecyku kawałki drewna.

- To co, wypijmy jeszcze za naszą współpracę. - Freja nalała dwie szklaneczki gęstego, czerwonego płynu. Jedną podała Alicji. - Nie martw się, to zwykły sok, nie ma alkoholu. - Zaśmiała się.

- To z róży?

- Tak, z róży. - Kobiety wzniosły toast.

Jakoś przeczekałem tę noc, ale była to noc niespokojna i bezsenna. Spędziłem ją na "Alicji", bujanej delikatnymi jedynie oddechami wody w lagunie. Przejrzałem dokładnie mój skromny dobytek, czy przypadkiem nie zniknęło coś jeszcze. No i nie myliłem się. Wiele drewnianych sprzętów, zwłaszcza mniejszych, jak przybory kuchenne i skrzynki, po prostu już nie należało do mnie.

W sumie to chyba nie powinno mnie dziwić. Żołnierze palili ognisko, a w tej części atolu moja łódka była jedynym elementem, który nadawał się jakoś na paliwo dla ognia.

Nie zmienia to faktu, że wściekłem się niezmiernie z tego powodu i postanowiłem, że nazajutrz rano wybiorę się do moich nowych kolegów i wygarnę im wszystko. To był mój dobytek. Może i skromny. Może i stary, ale jednak moja własność.

No i musiałem też odzyskać paliwo, inaczej pozostałbym uziemiony na tym bezludnym atolu na zawsze, czyli pewnie na krótko zważywszy na fakt, że na wyspie nie było nawet konkretnego źródła wody do picia.

Zapomniałem szybko o tym, co spotkało mnie poprzedniego dnia, o tym, że zjadłem wieloryba, który mi pomógł, o tym, że chciałem jak najszybciej uciekać z tego miejsca. Tak więc noc minęła mi na wkurzaniu się i ćwiczeniu tego, co powiem żołnierzom z samego rana. Chciałem im wygarnąć.

Oburzony ruszyłem na wysepkę zaraz o świcie, gdy słońce nieśmiało wyglądało zza horyzontu. Z oddali dostrzegłem trójkę mężczyzn, siedzieli wokół pozostałości ogniska, pili coś i w milczeniu zajmowali się swoimi sprawami.

Gdy się zbliżyłem na odpowiednią odległość, dostrzegłem lepiej, co to były za sprawy. Każdy z mężczyzn trzymał w dłoniach karabin, czy inną broń. Akurat nie znałem się na tym nigdy zbyt dobrze. Czyścili swoje zabawki.

Nie będę ukrywał, że widok umięśnionej grupki mężczyzn, uzbrojonych po zęby, trochę mnie onieśmielił. Szybko porzuciłem

swoje pierwotne plany, by okazać im swoje oburzenie na to, co zrobili z moją prywatną własnością.

Przez moment to chciałem nawet ulotnić się stamtąd i wracać na "Alicję". Jeden mężczyzna zauważył jednak, że się zbliżam i głupio mi teraz było tak po prostu zawrócić i odejść.

Podszedłem więc tylko i po nieudolnej próbie przywitania się, zapytałem krótko, czy nie wiedzą, co się stało z moim paliwem. Głos mi się łamał, bo troszeczkę się bałem prosić o swoje.

Niepotrzebnie. Mężczyźni zupełnie mnie zignorowali. Stałem jak wryty dłuższą chwilę, niepewny, co właściwie powinienem robić dalej. Już miałem ponowić moje pytanie, gdy siedzący tuż przy mnie facet obrócił się w moją stronę i tylko skinął dłonią, wskazując na kociołek między nimi, w którym bulgotała nieznana, ciemna zawartość.

Gdy się obracał, napięły się wszystkie mięśnie na jego szerokich plecach i barkach, aż przeszły mnie ciarki. Musiał ważyć chyba ze trzy razy tyle, co ja sam.

Posłusznie, powoli wszedłem między nich i poczęstowałem się kubkiem kawy, która okazała się zwykłą lurą. Nie wypadało jednak narzekać. Po prostu siadłem tyłkiem na twardej skale i grzecznie piłem, łyček po łyczku, czekając na dalszy rozwój wydarzeń. Prawie się oblałem, gdy siedzący naprzeciw mężczyzna, o rudawych, krótko przystrzyżonych włosach, w ułamku sekund załadował do swojej broni magazynek i wycelował gdzieś w niebo.

Ta niekomfortowa dla mnie sytuacja pewnie tak ciągnęłaby się w nieskończoność, gdyby z kierunku łodzi podwodnej nie zaczęła zbliżać się niska, ale raczej korpulentna sylwetka, z całą pewnością kobieca. Szła pewnie, a tuż za nią, posłusznie podążali dwaj uzbrojeni ochroniarze. Tak przynajmniej założyłem, że byli to jej ochroniarze.

Kobieta miała jasne, upięte włosy, nosiła ciasne džinsy i bluzę, która z trudem mieściła jej okazałych rozmiarów biust. Była chyba o połowę mniejsza od jej towarzyszy, ale gdy wreszcie się odezwała, przez moment byłem przekonany, że używa megafonu,

albo jakiegoś wzmacniacza mowy. Przestraszyłem się chyba bardziej, niż tych wszystkich facetów.

- Ktoś ty? - Na ten dźwięk stanąłem jak wryty, na baczność i możliwe, że nawet zasalutowałem lub próbowałem salutować, nie pamiętam dobrze.

- Jestem Edward, proszę pani. - Bałem się spojrzeć jej w oczy i tylko wyłupiałem wzrok przed siebie.

Mężczyźni, którzy do tej pory siedzieli cicho przy ognisku, zrobionego z moich rzeczy, rozstąpili się tak, by kobieta mogła swobodnie do mnie podejść. Wstrzymałem oddech i napiąłem brzuch, jakbym przygotowywał się na przyjęcie ciosu. Ta jednak, zamiast pięścią, uderzyła mnie kolejnym głośnym, lakonicznym pytaniem:

- Co tu robisz?

Odpowiedź na to pytanie niestety nie była taka prosta. Od jakiegoś czasu sam się nad tym zastanawiałem. Dlaczego przypląnąłem na to odludzie, na starej łodzi, sam, bez celu? Przypuszczam, że jakiegokolwiek bym jej nie udzielił odpowiedzi, to nie usatysfakcjonowałbym w pełni tej niskiej kobiety.

Nie pamiętam dokładnie, czy wtedy zająknąłem, zajęczałem, czy po prostu stałem z otwartymi ustami. Kobieta w każdym razie mnie zignorowała i zwróciła się do mężczyzn, nakazując im coś zdecydowanym ruchem ręki. Oddział stanął na równe nogi i bez słowa skierował się do łodzi podwodnej.

Staliśmy teraz przez moment oboje naprzeciw siebie. Kobieta myślała nad czymś, a ja starałem się nie posrać ze strachu.

- Pomóż im - rozkazała. Mówiła po angielsku bardzo wyraźnie, chociaż raczej nie nadużywała słów i języka. Pospieszenie, boso, ruszyłem za mężczyznami, nie wiedząc dobrze, w czym miałbym im pomóc. Gdy odchodziłem, moja nowa szefowa dodała jeszcze:

- Mów mi Rota. - Przysiągłbym, że się wtedy uśmiechnęła, ale zrobiła to tak subtelnie, że głowy bym nie dał, czy nie było to raczej obrzydzenie na widok mojego wątego i brudnego ciała.

Tak zaczął się dla mnie kolejny, rutynowy dzień, z tą różnicą, że wtedy byłem nie tylko głodny, ale jeszcze zmęczony, od dźwigania drewnianych skrzyni, wypełnionych najrozmaitszym, wojskowym sprzętem. Pracowaliśmy w łańcuchu, jedna grupka wynosiła skrzynki z łodzi podwodnej, kolejna pontonem transportowała po kilka sztuk do brzegu, a my stamtąd zanosiliśmy na wygodniejszą część nagiej wysepki, gdzie pozostali, pod wodzą Kiary, rozpakowywali i testowali to wszystko.

A co to w ogóle było? Głównie broń, na tyle, na ile byłem w stanie to dostrzec i rozpoznać. Karabiny, pistolety itd. Wyglądało na to, że moi wojskowi przyjaciele chcieli tutaj sobie urządzić mały poligon.

I rzeczywiście. Nim słońce wspięło się do zenitu, chłopaki rozstawili atrapy ścian i ludzi, do których strzelali z hukiem.

- Umiesz strzelać? - Rota zrobiła się dla mnie nieco bardziej przyjacielska, ale wciąż mówiła tylko pół-zdaniami. Emanowała taką władzą, że z szacunku w ogóle jej nie odpowiadałem, tylko kiwałem głową na "tak" lub na "nie" i chyba jej to w zupełności wystarczało.

Nie miałem oczywiście ochoty bawić się w żołnierza. Zacząłem się w ogóle zastanawiać, co to wszystko znaczyło i co to byli za ludzie. Nie miałem najmniejszego pojęcia. Pytać i tak nie miałem zamiaru, bo pewnie nie uzyskałbym odpowiedzi, której oczekiwałem.

Posłusznie więc podążałem za Rotą, gdy ta wrzeszczała na swoich ludzi, motywując ich do pracy w sobie znanym języku. Skąd oni pochodzili? Raczej gdzieś z Europy, sądząc po wyglądzie. Nie potrafiłem jednak rozpoznać, co to był za język.

Wreszcie, gdy pod wieczór ćwiczenia się skończyły, a żołnierze przygotowywali się do posiłku, odważyłem się zapytać o moje paliwo.

- Rota - zacząłem cicho, prawie wyszeptalem. Musiałem powtórzyć, bo chyba mnie nie usłyszała, albo zignorowała. Wyduśłem więc z siebie, już nieco pewniejszym głosem:

- Rota, na mojej łodzi było paliwo i... - przerwała mi

uniesieniem dłoni i wskazała na miejsce przy ogniu. Wyglądało na to, że moja sprawa musi poczekać.

Plus tej sytuacji był taki, że po raz kolejny się najadłem, jakiegoś gotowego jedzenia z wojskowych racji. Nawet całkiem smacznego, jak na te warunki.

Gdy już wszyscy byli syci, a słońce zaczynało topić się w morzu, Rota stanęła naprzeciw z wielkim karabinem i trzymając go pewnie w jednej ręce, zaczęła przemowę.

Było coś takiego w tej kobiecie, czego nie potrafię dobrze ująć w słowa. Epatowała siłą, ale miałem wrażenie, że stoi za nią jakiś ból, cierpienie, nie wiem. Błądą twarz miała pokerową, usianą pojedynczymi piegami, a usta, chociaż poruszały się oszczędnie, wydawały bardzo głośne dźwięki.

Przemówienie chyba wzruszyło chłopaków i podniosło im morale. Ich twarze słuchały w milczeniu wpatrzone jak w obrazek, każdego jej słowa. Te przenikały do ich duszy i malowały im na twarzach nadzieję, siłę, wielkość. Żałuję, że nie mam pojęcia, o czym mówiła.

Na koniec wzniosła karabin i oddała krótką serię w powietrze, za czym poszedł niesamowity huk i wrzawa wszystkich obecnych, kilkunastu wielkich chłopów. Sam oddałem się temu nieposkromionemu wyciu, które musiała trwać dłuższą chwilę.

Rota dała też znak, że chłopaki mogą się już napić, bo ich twarze uradowały się i zaczęli na raz wyjmować jakieś bidony, co do których zawartości się domyślałem.

Kobieta zbliżyła się do mnie i poleciała gestem, bym poszedł za nią. Gdy oddaliśmy się nieco od zgiełku, odezwała się:

- Paliwo?

- A, ja, tak! - Trochę plątał mi się język.

- Powiedz mi, co potrafisz - przerwała mi władczo. Pytanie wybiło mnie z rytmu i musiałem się dobrze zastanowić, ale wybąkałem tylko łamanym angielskim, że moja żona jest lekarzem. Chyba to było właśnie to, co robiłem przez ostatnie lata życia, byłem mężem lekarki i to nawet nie dosłownie mężem, bo papierów na to

nie miałem.

Rota chyba mnie źle zrozumiała.

- Jesteś lekarzem, świetnie. - Nie pozwoliła nawet wyjaśnić, o co mi chodziło, bo zbliżyliśmy się do mojej łódki. Ściemniało się już, ale i tak byłem w stanie dobrze dostrzec, co się stało z moją drogą "Alicją". Nie mogłem się nadziwić, że nie zauważyłem tego wcześniej. Przecież stała sobie zacumowana bardzo blisko miejsca, gdzie byłem przez większość dnia.

Chłopaki urządzili z niej sobie cel ćwiczeń. Nawet nie będę się rozpisywał, jak wyglądała. Wcześniej nie była to łódź pierwszej młodości i trochę kruszyła się na niej farba, a miejscami wychodziła też rdza. Wymagała remontu. Teraz to nawet remont by jej nie pomógł, już chyba jedynie złomowanie. Możliwe, że ktoś nawet potraktował ją granatnikiem.

- Paliwo nie będzie ci już potrzebne. - Rota powiedziała beznamietnie, patrząc na tonące z wolna zwłoki "Alicji". I dodała jeszcze tylko: - Płyniesz z nami.

Alicja nie mogła uwierzyć we wszystkie zbiegi okoliczności, szczęśliwe zbiegi okoliczności, których doświadczała. Gdy postanowiła, że zacznie poszukiwania ukochanego Edka, nie bardzo wiedziała nawet, od czego ma zacząć. Nie wyobrażała sobie, jak miałyby wyglądać te poszukiwania. Wynajmie detektywa? Zawiadomi policję?

Tymczasem prawie przez przypadek natrafiła na wiekową kobietę, która sprzedała łódź Edwardowi. Tamta z kolei okazała się skorym do pomocy, starym wilkiem morskim, co było dla Alicji tak nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu, jak nic, co ją do tej pory spotkało.

Kobieta na dodatek знаła w dokach mężczyznę, który wisił jej jakąś dużą przysługę, nie chciała nawet powiedzieć Alicji, o co chodziło. Domyślała się jedynie i czytała między wierszami, że Freja zrobiła dla niego coś na równi chyba jedynie z uratowaniem mu życia. To dlatego, gdy tylko poprosiła go o pożyczenie łodzi, zgodził się bez wahania.

Alicja obiecała mężczyźnie, że oddadzą łódź w dobrym stanie i że otrzyma on nawet wynagrodzenie. Tak ruszyły w morze.

Nie była to łatwa wyprawa. Chłodne, wilgotne powietrze łatwo przechodziło przez ubranie i Alicja czuła się w takich warunkach źle. Freja z drugiej strony sprawiała wrażenie niewzruszonej, jakby zahartowana była na tyle, że jej to nie dotyczyło. Nosila te swoje grube, wełniane ciuchy i to jej w zupełności wystarczało.

Szybko opuścili wody Bałtyku i wypłynęły w kierunku otwartego oceanu, gdzie wiódł ich ślad Edka. Freja przypomniała sobie, że ten wspominał o tym, że najpierw chciałby zwiedzić Islandię, a potem miał skierować się na różne wyspy, rozsiane po Atlantyku.

Nie było to wiele, ale udało im się. W Islandii spotkały człowieka, który pamiętał Edka. Tak trafiły na kolejny trop. Potem

następny. Bez większych przygód przepłynęły wzdłuż praktycznie cały Atlantyk, opłynęły Amerykę Południową, zatrzymując się w Argentynie, potem wypłynęły na otwarty Pacyfik.

Ocean Spokojny nie był taki spokojny, gdy płynęły. Freja wiedziała, że to karkołomna wyprawa, ale determinacja, z jaką Alicja mówiła o Edwardzie motywowała ją. Zgodziła się jej pomóc do samego końca.

- Te chmury, to chyba niedobrze, co? - Alicja spytała, wskazując na ciemniejące w oddali niebo.

- Nie chciałam cię martwić. - Freja jednak miała nietęgą minę i Alicja to dostrzegła. Rzadko kiedy na twarzy tej starszej kobiety pojawiał się strach.

- Możemy coś zrobić?

- Jeżeli będziemy miały szczęście, to burza nas ominie. Ale widzisz to? - Freja wskazała na kłębiaste chmury, które formowały się szybko na horyzoncie. Jedna z nich zajaśniała na moment.

- Burza?

- Obyśmy to ominęły. Inaczej czeka nas sztorm.

Szczęście przestało im jednak dopisywać i dosłownie po kwadransie poczuły pierwszy, porywisty wiatr, fale się wzmożyły, a z chmur spadły pierwsze, grube krople deszczu.

- Ubierz się ciepło i przygotuj koła ratunkowe. - Freja wydawała polecenia, jak przystało na kapitana. Alicja już straciła nadzieję, że sztorm ich ominie. Pomagała Freji zwinąć maszt i zabezpieczyła w kajucie wszystkie przedmioty, które mogły się przemieszczać w kołyszącej się łodzi. Nie skończyła, gdy Freja zaczęła z zewnątrz walić w okno i krzyczeć:

- Trzymaj się! - Alicja nie zdążyła się jednak chwycić. W jednej sekundzie zrobiło się bardzo ciemno i łodzią szarpnęło, a świat za oknami kajuty nagle zniknął na moment. Gdy pojawił się z powrotem stało się jasne, że uderzyła ich wielka fala.

Nieco się uspokoiło, ale łodzią kołysało coraz mocniej i mocniej. Alicja tak szybko, jak mogła, wybiegła z kabiny by sprawdzić, co z Freją.

- Ta mnie zaskoczyła! - Freja pojawiła się jak znikąd, cała przemoczona i wepchnęła Alicję do wnętrza kajuty.

- Wszystko w porządku?

- Tak, tylko trochę zmokłam. Nie zauważyłam tej fali. - Freja zaśmiała się. Jednocześnie zdjęła mokry sweter. - Pozwól dziecko, że się przebiorę. - Nie okazywała większych oznak strachu.

- Nie boisz się?

- Strach tu nie pomoże. Tylko szczęście - odparła. Z trudem wygrzebywał z szafki zapasowe ciuchy, bo łódka rzucała się na wysokich falach jak łupinka orzecha.

Alicja była przerażona i zaczęła panikować. Freja tylko stanęła szeroko, by zachować równowagę i chwyciła ją za ramiona.

- Dziecko! - mówiła i potrząsała nią. - Weź się w garść! - W tym momencie łódką szarpnęło mocno i kobiety wyrzuciły się na meble. Alicja odruchowo chwyciła się za szafkę.

- Czy my - powiedziała niepewnie - umrzemy?

- Dziecko, chwyć się mocno czegoś. Nawet, jeśli mamy tutaj umrzeć, nie poddamy się bez walki.

Walczyły. Kilkakrotnie wydawało się, że łódka wywróci się do góry dnem, ale zaraz wracała do normalnej pozycji. Kobiety wytrzymywały dzielnie, objając się o meble i wyposażenie ciasnej kajuty. Nagle wszystko ustało i łódź stanęła poziomo.

Alicja miała do tej pory oczy zamknięte i trzymała kurczowo swojej koji. Była zbyt przerażona, żeby uchylić oczy. Słyszała, że Freja wychodzi na zewnątrz i za moment wraca.

- Możesz otworzyć oczy dziecko - powiedziała, gładząc ją po ramieniu. - Już po wszystkim - dodała.

Alicja niepewnie otworzyła oczy, ale w tym momencie łódź uniosła się na kolejnej fali, więc szybko zamknęła je po raz kolejny.

- To już ostatnie fale. Miałyśmy jednak dużo szczęścia. Sztorm ominął nas bokiem. - Alicja otworzyła oczy oburzona:

- Bokiem?! Łódka fruwała w powietrzu! - Freja tylko się zaśmiała, a łodzią znów zakołysało. Z oddali dobiegł huk grzmotu i na moment zrobiło się jasno.

- Sprawdzę łódź.
- Nie zostawiaj mnie! - Alicja wciąż się bała.
- Dobrze już, dobrze dziecko. - Freja próbowała ukoić jej nerwy. Trwało to dobrą chwilę. Potem wyszła na zewnątrz i wróciła do kajuty z wieściami.
- Dobre wieści są takie, że łódź jest cała.
- A złe?
- Trochę zboczyliśmy z kursu, to musiał być mocny prąd... - Na moment się zamyśliła. - Zaraz to naprawię. Grzebała coś w starych mapach. Po dłuższej chwili, gdy Alicja jeszcze dochodziła do siebie, kobieta dodała:
- W sumie to dobrze się stało. Blisko jest wysepka, możliwe, że zamieszкана przez tubylców.
- Tubylców?! - Alicja raczej nie chciała już żadnych przygód.
- Spokojnie, to Maorysi, są przyjaźnie nastawieni. - Freja uspokoiła ją.
- Pływałaś kiedyś po tych wodach?
- Nie, ja to raczej po Atlantyku.
- To miał być Ocean Spokojny! - Alicja powoli dochodziła do siebie po sztormie. Freja tylko się zaśmiała.
- I tak miałyśmy dużo szczęścia, że burza trafiła nam się dopiero teraz.

Wkrótce dopłynęły do niedużej wyspy i rzeczywiście przywitała ich grupka tubylców. Byli to jednak raczej cywilizowani tubylcy i przywitali ich skromnie, ale godnie. Niektórzy znali nawet dobrze angielski.

Kobiety mogły uzupełnić zapasy i przygotować się do dalszej trasy. To nie było łatwe. Trafiły na impas i Alicja musiała szybko przemyśleć, co robić dalej. Trop im się urwał.

Kiedy już rozgościły się tak na wyspie, Freja powiedziała, że idzie popływać w lagunie. Alicja tylko obserwowała ją kątem oka z oddali, wpatrywała się w dal i oddawała myślom o tym, że to może być już koniec i że to wszystko na marne. Nie miała pojęcia, co robić dalej, gdzie płynąć. Z rozmyślań wybił ją dziwny widok,

charakterystyczna płetwa wystawała ponad wodę i sunęła zygzakiem w stronę pływającej Frei.

Alicja przestraszyła się i podbiegła w jej stronę kamienistym brzegiem, wymachiwała przy tym rękami i krzyczała. Nadaremnie, kobieta była zbyt daleko. Mogła jedynie obserwować bezczynnie, jak wygłodniałe zwierzę zbliża się do niej. Łzy przerażenia napłynęły jej do oczu.

- Freja! - wrzasnęła. Patrzyła, jak oboje szarpią się chwilę, po czym płetwa znika pod powierzchnię wody. W osłupieniu stała, aż Freja jak gdyby nigdy nic wróciła na brzeg.

- Cholerny rekin, chciał mnie dziabnąć.

- Wszystko w porządku??

- Tak, a bo co?

- Myślałam... To był rekin??

- Tak. - Freja machnęła ręką. - Ale mały gnojek. Walnęłam go w nos i odpłynął. Ciekawski był. - Alicja osłupiała z wrażenia i nie była w stanie nic powiedzieć. Gdy już poczuła ulgę, że jej przyjaciółce nic nie grozi, nagle ją olśniło. Freja to wyczuła i tylko zapytała:

- No, mów.

- Wiem.

- Co wiesz?

- Wiem, gdzie mógł płynąć. Jesteś genialna Freja! - rzuciła jej się na szyję. - I mokra. - dodała po chwili.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem dziecko. - Freja zażartowała.

- Czy w pobliżu są jakieś małe, bezludne atole?

- Chyba nawet całkiem sporo, bo co?

- Pamiętam, że Edek chciał odwiedzić taki atol. To było jedno z jego marzeń, o których ciągle gadał... - Zamyśliła się, próbowała przypomnieć sobie więcej szczegółów z tego, co mówił kiedyś jej ukochany.

- Sprawdzę to.

- Szukamy małego atolu, który często odwiedzają zwierzęta,

a rzadko ludzie. - Była coraz bardziej radosna.

- Da się zrobić.

- Tak, znasz takie miejsce?

- Przypuszczam, że jest co najmniej kilka kandydatek.

Zapytajmy miejscowych o mapę i wskazówki.

Tubylcy byli bardziej niż pomocni. Dali kobietom namiary i nawet trochę prowiantu, miejscowych rarytasów, suszonych ryb na dalszą podróż.

Wyruszyły więc dalej, pełne nadziei. Pierwszy z atoli był zupełnie pusty i nagi, nie licząc stadka albatrosów. Pozostawiły go i popłynęły dalej.

Drugi był bardziej obiecujący. Z oddali już było widać zieleń wewnętrznej wyspy. Do laguny łatwo wpływało się szerokim i głębokim kanałem. Nie było jednak ani śladu żywej duszy, czy to człowieka, czy zwierzęcia.

Freja zacumowała łódź.

- Chcesz się rozejrzeć? - zapytała. Alicja skinęła głową i wkrótce kobiety spacerowały po twardej powierzchni nagiej wysepki, zbudowanej z pancerzy koralowca.

- Spójrz na to. - Alicja zauważyła w oddali obiekty, które raczej nie powstały naturalnie. Były to drewniane, na wpół zniszczone atrapy sylwetek, podobnych do ludzkich.

- Co to jest, jakiś poligon wojskowy? - Freja zastanawiała się na głos, gdy podniosła z ziemi łuskę pocisku.

- Jeśli tak, to opuszczony. - Alicja nogą rozgrzebała resztki sterty, która musiała kiedyś być ogniskiem. Koralowiec był w tym miejscu przypalony na czarno, a wiatr rozniósł popiół po okolicy.

- A to co? - Alicja zauważyła, że w oddali wyłania się spod wody kanciasty kształt.

- No cóż, sprawdźmy to!

Wkrótce kobiety stały nad wrakiem czegoś, co z całą pewnością było niegdyś łodzią.

- Widzisz tę łódkę dziecko? - Freja zapytała retorycznie, ale zaczęła, aż Alicja potwierdzi skinieniem głowy.

- Coś z nią nie tak?
- Wręcz przeciwnie. To była moja łódź.
- Twoja, to znaczy? - Alicja chciała się upewnić.
- Tak. Twój Edek kupił ją ode mnie.

Alicja była tak podekscytowana, że nie wiedziała, co robić. Podbiegła do zatopionego wraku, wskoczyła do wody, jakby z nadzieją, że Edward wciąż siedzi gdzieś tam w środku.

- Freja, nie ma go tu!
- Naprawdę? Sprawdź dobrze.
- Freja, on tu był! On żyje, musi żyć! - nadzieja wypełniła ją od stóp do głów.

II

Po dalszy ciąg przygód bohaterów, zapraszam na [e-bookowo](#) :)